



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ***
ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

pod redakcją

MARYANA GAWALEWICZA.

OBEJMUJĄCE:

ARTYKUŁY O WYCHOWANIU ESTETYCZNEM I MORALNEM,

POEZYJE, POWIEŚCI, OBRAZKI DRAMATYCZNE, ORYGINALNE I TŁÓMACZONE,

ŻYCIORYSY ZNAKOMITYCH LUDZI, KRONIKĘ DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ, KRONIKĘ WIADOMOŚCI

KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH, SPRAWOZDANIA Z LITERATURY,

MUZYKI I SZTUKI, WIADOMOŚCI Z HYGIENY

oraz na osobnym dodatku

RYSUNKI MÓD, HAFTÓW, ROBÓTEK WRAZ Z ICH OPISEM.

Tom XXXVIII



WARSZAWA
WYDAWCA PIOTR LASKAUER
ul. Ś-to Krzyzka Nr. 11.
1902.

Druk Piotra Laskauera i S-ki.



PISMO TYGODNIOWE
ILLUSTROWANE DLA KOBIEC

pod redakcją

MARYANA GAWALEWICZA

WARSZAWA

WYDAWCA: M. GAWALEWICZ, ul. Krakowska 10, Warszawa

WYDAWCA: M. GAWALEWICZ, ul. Krakowska 10, Warszawa

WYDAWCA: M. GAWALEWICZ, ul. Krakowska 10, Warszawa

DOZWOLENO CENZUROU.

Warszawa, 10 Decebrja 1902 goda.



Cz 434/1902

Tom XXVII



WARSZAWA
WYDAWCA: M. GAWALEWICZ, ul. Krakowska 10, Warszawa

3056 a 1967

SPIS RZECZY.

Artykuły o postępie w pracy, dobrobycie i wykształceniu kobiety.

Z Nowym Rokiem	1
Kronika działalności kobiecej 23, 34, 47, 59, 71, 83, 95, 107, 119, 131, 143, 155, 167, 179, 190, 203, 239, 251, 262, 275, 286, 299, 323, 335, 346, 359, 371, 383, 395, 418, 430, 442, 454, 466, 477, 490, 502, 514, 526, 538, 550, 562, 586, 597, 611, 622.	
Co kobiety czytają?—Zofia Seidlerowa	44
Prawa kobiet.—P. W.	45
Warszawska Kassa przeczności i pomocy dla kobiet.—Zofia Seidlerowa	81
Towarzystwo opieki nad kobietami samotnymi.—Ol.	163
Słótko o pannach i dla panien—M. G.	169
O byt i zdrowie pracownice warszawskich.—Wanda Grot-Bęczkowska	176
W kwestyi kobiecej.—Okszye	181, 199, 211
Filantropijne stowarzyszenia kobiet—Zofia Seidlerowa	188
O powołaniach kobiety — Zofia Seidlerowa	205, 223
Ziarnka gorczyczne.—Wanda Grot-Bęczkowska	217
Historia emancypacji i działalności kobiecej—Zofia Seidlerowa	283
Nowy zawód dla kobiet—E. Żm.	308
Towarzystwo ochrony kobiet — Wanda Grot-Bęczkowska	317
Kobieta na Wschodzie—K. D.—S.	332
W sprawie kobiecej — M. Cz. Przewóska	340, 353
Kobiety na stanowisku inspektorek fabrycznych—P. W.	357
O cnotach i wadach kobiecych—St. Ochocki	362
Kobieta naszej doby—Zofia Seidlerowa	385
Nasz kwestyonaryusz paniński 397, 410, 423, 436, 448, 462, 471, 484, 497, 508, 534, 546, 559, 570, 582, 607	
Kilka uwag! Odpowiedź autorowi artykułu „O cnotach i wadach kobiecych”—K. Kornicki	417
Pensyonarki — M. G.	446
Prawda kole w oczy — M. Rolicz-Stoniecka	451
Kobiety na polu przemysłu — eż.	446, 477
Zakłady wychowawcze dla dziewcząt—Bożymir	481
Kobiety na polu przemysłu—Emilian Ciesielski	502
Zakłady wychowawcze dla dziewcząt—Miles	510
Projekt pierwszego Tow. pomocy naukowej dla kobiet im. Narcezy Żmichowskiej—Wanda Żeleńska	517
Schronienie dla nauczycielek—Bożymir	523
Słótko wyjaśnienia w sprawie Tow. pomocy naukowej dla kobiet—M. G.	553
W kwestyi robotnic, pracujących w magazynach—Z. S.	573

Artykuły o wychowaniu moralnem, życiu społecznem i rodzinnem.

Prawda w wychowaniu—Henryk Rygier	6
Nasze dzieci. I. Dziecko się bawi... — Zofia Seidlerowa	9
Nasze dzieci. II. Kary i nagrody—Zniesz.	19
W ćwierć wieku po zgonie Narcezy Żmichowskiej—W. Żeleńska	42
Z zagadnień chwili—Adolf Strzelecki.	63
Cudzoziemki u nas—Elja	73
Nasze dzieci. III. Indywidualność a wychowanie—Henryk R.	92
Slójd, jako czynnik wychowawczy — Wanda Grot-Bęczkowska	97
Pogadanki pedagogiczne Narcezy Żmichowskiej—W. Żeleńska 100, 139, 161, 185, 209, 145, 271, 293, 328, 354, 368, 378, 426, 437, 450, 472	
Kolonia zdrowotna dla słabowitych dzieci w Brzegach—dr. Henryk Dobrzycki 121, 142	
Sztuka jako czynnik wychowawczy — Zofia Seidlerowa	136
Przyczyny i skutki — Wanda Grot-Bęczkowska	140, 158, 232, 301, 338, 401
W schronieniu św. Władysława—Zofia Hartinghova	253
Zbytek, jego złe i dobre strony — Zofia Seidlerowa	257
Walka ze zbrodnią — Aleks. Mogilnicki 279, 296, 307	
O pojedynku — J. T.	282
Towarzystwo opieki nad chorymi pozaszpitalnymi—Zofia Seidlerowa	297
Sentymentalizm w wychowaniu—X. 304, 318, 321	
Ogródki dziecięce — Wanda Grot-Bęczkowska	325
Nasze dzieci. IV. Dziecko leniwe — Henryk Rygier	330
Nasze dzieci. V. Dziecko źle wychowane—Henryk Rygier	366
W sprawie maluczkich—M. Rolicz-Stoniecka	405
Czy i to emancypacja?—Zofia Seidlerowa	417
Z moich wędrówek — Wanda Grot-Bęczkowska	421
Po wakacjach—W.	433
Głos z prowincyi — wieśniaczka R. S.	474
Za postępem czasu — M. Rolicz-Stoniecka	498
Wydzieńczeni — Mieczysław Offmański	513
W sprawie maluczkich—Wanda Grot-Bęczkowska	532
Nauka o rzeczach—Zofia Seidlerowa	556
Brak inicjatywy—ziemianka R. S.	594
Rozwój dziecięcia—Józef Ciembroniewicz	596
W schronieniu św. Stanisława Kostki przy ul. Dzielnej—Zofia Hartinghova	602
Słótko o naszych tradycjach—M. R. S.	613

Studyja, szkice literackie i artystyczne.

Nad wodą wielką i czystą — Ferdynand Hoesick 7, 18, 31, 43, 55, 67, 79, 90, 104, 116, 128, 151	
--	--

Z autografów—E. Felińskiej	8
Typy niewieście w literaturze XIX wieku—Czesław Jankowski 17, 29, 49, 66, 89, 125, 150, 174, 197, 222, 234	
Ruskin i kobieta—A. Hue, tłum. Z. Harthin-ghowa	102, 115, 127
Olbrzymia twórczość Kraszewskiego, jej zalety i... wady — Aleksander Bolesław Brzostowski	187
Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej—Ferdynand Hoesick 364, 373, 388, 403, 413, 428, 439, 451, 463, 473, 486, 499, 521, 533, 545, 557, 569, 579, 595, 605, 616	
Hołd poetce Maryi Konopnickiej — Wanda Żeleńska	505
Z twórczości powieściowej Albionu—Puk 559, 580	
Z papierów po Wincentym Polu — Maurycy Mann	593, 605

Poezye.

Nowy Rok—Tadeusz Kończyc	2
Nad Modrym Dunajem — Deotyma 5, 16, 28, 41, 52, 65, 76, 91, 99, 114, 124, 138, 149, 160, 173, 184, 196, 208, 221, 233, 244, 256, 270	
Legenda (z niemieckiego)—n.	18
Kartki z podróży—Wincenty Kosiakiewicz	32
Z cyklu „Wizye”—Jan Mori	43
Legenda—Elja	55
Anioł pokuty—Leon Rygier	78
Z teki pośmiertnej—Teofil Lenartowicz	88
Módl ty się za mnie—Zygmunt Różycki	102
Z oddali—Tadeusz Kończyc	116
Mgły—S. Piotrowski	117
Do niej—E. G.	127
„Mistica” z wielkopostnych rozmyślań—Bożymir	142
Zmartwychwstanie — Zygmunt Różycki	147
Gawęda starego kawalera—Julia Terpiłowska	165
Ja i ona—Wanda Krasuska	177
Królewna i paź—Maryan Cynarski	186
Kto „On?”—Elja	200
Dalekiej—Tadeusz Kończyc	210
Sen i jawa—Leon Rygier	225
Szmat doli—Lamary	236
Południe—Zygmunt Różycki	247
Czy znasz tę chwilę?—E. G.	258
Wiosna—Bożymir	279
Odtrącona—Tadeusz Kończyc	293
Głos serca—Wanda Krasuska	304
Jaśminy—Złotowłosa—Zygmunt Różycki	317
Do zawiedzionych—Mieczysław Olszowski	319
Zakwitły zboża — Bożymir	328
W noc letnią—Stefan Machalewski	342
Do niej—Lamary	344
Ronda—Tadeusz Kończyc	352
Żal i pociecha—Marya Grossek	364
Na spotkanie słońca—Henryk Rygier	376
Zakopane—Bożymir	388
Słoneczna legenda—Miles	401
Z erotyków—Sol	413
Lubię cię pokoiku... — Iry	426

Str.

Na zgon Henryka Siemiradzkiego—Zygmunt Różycki	435
Samotni—Wanda Krasuska	440
Do poetów—Maryan Cynarski	448
Noc—Bożymir	461
Na rozstanie, pożegnanie—Leon Rygier	472
Ostatni jasny dzień—Władysław Nawrocki	484
Sonet—Zygmunt Różycki	496
Spokojna jesień—Bożymir	508
Sonet jesienny—Miles	510
*—Lanary	521
Na marginesie—Kometa	523
Bitwa—Stefan Machalewski	531
Z serdecznych strof—Wacław Guliński	555
Z księgi pieśni—Tadeusz Kończyc	568
Roraty—Bożymir	579
Z dalekich stron—Leon Rygier	602
Preludya zakopańskie—Józef Kościelski	614

Życiorysy, szczegóły biograficzne i wspomnienia pośmiertne.

Polki w współczesnej literaturze i sztuce:	
Marya Konopnicka (z portr.)—Leon R.	25
Adelajda Ristori—M. G.	54
Aniela Aszpergerowa—M. G.	68
Marya de Rute. Klemeney Royer—K. D. S.	94
Papież Leon XIII (z portretem)	109
Bronisława Poświkowa (z portr.)—Z. S.	135
Genialny robotnik	214, 225, 236
Adam Bełcikowski (z portr.)—M. G.	229
Ks. biskup Aleksander Bereśniewicz (z portretem str. 277)	267
Adolf Dygasiński (z portr. str. 283)—M. Gawalewicz	268
Deotyma (Jadwiga Łuszczewska, z portretem)—Leon Rygier	289
Dr. Antoni Estreicher—L. R.-dt.	333
Wspomnienie o ś. p. Władysławie Podlewskim—H. K.	334
J. E. kardynał M. Ledóchowski—Kr.	349
Władysław Ordon—Aleksander Bolesław Brzostowski	350, 367, 376, 389, 404
Henryk Siemiradzki (z portr.)—M. G.	409
Z żałobnej karty	476
Maryi Konopnickiej—M. G.	493
Eliza Orzeszkowa (z portr.)—Leon Rygier	529, 544
Władysława Izdebska—Z. S.	535
J. E. ks. biskup Antoni Baranowski (z portretem)—X. X.	577

Powieści, pamiętniki i nowele.

Przystań—Julia Terpiłowska	3, 14, 27, 39, 50, 63, 74, 87, 98, 112, 122, 137, 147, 159, 172, 182, 195, 206, 220, 230, 243, 255, 269, 277, 291, 302, 315, 326, 340, 351, 363, 375, 386, 399, 412, 425, 434, 446
Już nie wróci...—Darwid	103
Przyjaźń, legenda skandynawska—Z. S.	153
Z życia—Janina Głogierówna	212
Maciej—Z. A. Z.	258
Luta, szkic do powieści—Gustawa Toporczanka	280, 295, 305
Na pogrzebie—Zofia Seidlerowa	344
Jak sen...—Wanda Grot-Bęczkowska	355, 369, 380, 391
Piękny (niewesoła humoreska)—Ludwik Stasiak	452, 459

Na osobnych dodatkach mieszczą się przekłady następujących powieści:

Nowoczesny korsarz — przez Ryszarda Henryka Savage, tłum. z ang. Eugenii Żmijewskiej.	
Siostra Joanna — przez Matyldę Seroa.	
Karzelek — przez M. A. Szimaczka, tłum. z czeskiego J. Kietlińskiej-Rudzikiej.	
W katedrze Bogarodzicy — opow. Winklera.	

Str.

Lzy gonia...—Darwid	469
Kalejdoskop—Estewa	482, 495, 506, 519, 530
Metafizyk — Zygmunt Dzierżykray-Morawski	543, 554
W noc św. Andrzeja—Wanda C.	567, 578
Z legend mazurskich: Jałowiec... — Z. Morawska	580
Dwa obrazki z życia Henryka Sienkiewicza.	
I Chrześcianczka—M. Gawalewicz	591, 604
II Ostatni ukłon...	617
Trzy podróżniczki, bajka wigilijna — Zofia Seidlerowa	614

Przegląd piśmienniczy i sprawozdania z odczytów.

Z najnowszych poezji—Adolf Strzelecki	10
Z twórczej niwy—M. G.	46, 201
Myśli Narcyzy Żmichowskiej — Wanda Żeleńska	77
Przegląd piśmienniczy—Tadeusz Kończyc	81, 250, 322, 475
Przegląd piśmienniczy—K. Laskowski	118
Przegląd piśmienniczy—□	284
Na półkach księgarskich—A. J.	190, 215, 239, 263, 287, 347, 359, 419, 431, 466, 490, 513, 574, 586, 597, 610, 622
Odczyty—Z. S.	215, 227
Przegląd piśmienniczy—W.	344, 453
Przegląd piśmienniczy—L. Reinsmidt	381
O psychologii dziecka, odczyty d-ra J. Brudzińskiego—Zofia Seidlerowa	571
Wydawnictwa gwiazdkowe	596

Korespondencja.

Z Krakowa—W.	22, 585
Z Paryża—K. Daniłowicz-Strzelbicki	56, 129, 237, 309, 393, 464, 572, 620
Z Londynu—Zetes	70, 321, 429
Z Krakowa—M. Świd.	80
Z Petersburga — Leon Ch.	117
Z Krakowa—M. Świd.	154
Z nad Styru—L. J.	274
Z Krynicy	357
Z Krakowa—S.	418
Z Zakopanego—J. T.	441
Z Medyolanu—Felicja Szretterówna	549

Kronika bieżąca.

Przy kominku—Kazimierz Gliński	13, 37, 61, 85, 110, 133, 146, 541, 565, 589
Wystawa kucharsko-spożywcza	167
Na werandzie—Kazimierz Gliński	170, 193, 218, 241, 265, 313, 337, 494, 518
„Pożytek“—Z. S.	237
Konkursy	287
Wystawa gier i zabawek	395
„Jarmark jesienny“	419
Otwarcie nowego zakładu naukowego żeńskiego w Warszawie Z. S.	440
Jarmark jesienny na rzecz kasy pomocy dla kobiet pracujących—Zofia Seidlerowa	442
Nasz ul—Pszczółka	455, 467, 478, 490, 502, 514, 526, 538, 550, 562, 574, 587, 598, 611, 623
Wystawy w Warszawie—Zofia Seidlerowa	457, 500
Błogosławieństwo Ojca św. dla Deotymy	524

Ze sztuki.

Str.

Przegląd muzyczny — St. Dziadulewicz	33, 105, 177, 200, 261, 333, 406, 524, 583
Wędrowka po salonach Tow. Sztuk Pięknych —S. T-tyk	58, 69
Wystawa sztuki stosowanej w salonie Krywulta—Zofia Seidlerowa	107
Przegląd teatralny—L. R.	226
Wystawa darów M. Bersona—Z. S.	247
Wystawa wiosenna—Z. S.	274
Muzeum sztuki w Krakowie—W.	382
Ze sztuki—Kacper Stan.	415, 487
Wystawa traktowskiego Tow. Sztuki Stosowanej—Zofia Seidlerowa	512
Z Teatru—Skir.	537, 561, 609

Rozmaitości.

Sen Cyserona—K. A. Nikander, z szwedzkiego tłum. Konstanty Bończa-Bukowski	21
Ciekawe wiadomości	34
Kobieta-Doktor w XVIII wieku — B. K.	53, 162
Hygiena snu—Z. S.	82
Teatr marionetek—Zygmunt Deuter	94
Losy emigrantki—Z. S.	155
O śnie i zapobieganiu bezsenności—dr. Kam.	165
Książka gospodarska—Ludwika Per.	189
Sprawozdanie komitetu jubileuszu Henryka Sienkiewicza	191
Przykłady samodzielności kobiecej z r. 1399 — Z. S.	202
Historia kapelusza damskiego—m.	203
Prawdziwość Świętego Całunu—A. Białecki	213
Kobieta-doktor w XIX wieku—B. K.	247
Odkrycie zwłok królowej	285
Starożytne sposoby upiększania ciała w Wenecji—L. O.	299
O żywieniu chorych—Dr. K.	319
Rocznica zgonu Fröbla—Z. S.	335
Z historii koronek —	359
Co modne w Paryżu?—Parisia	394, 407
Z cmentarzy—Mieczysław Offmański	522
Sztuka i ubranie kobiece—S.	536, 547

Z dziedziny przyrody.

Zjawiska wulkaniczne—Z. S.	248
Pogadanki naukowe. I. Chleb —T. Harajewicz	260, 273, 342
Nabiał—T. Harajewicz	488

Podróże i opisy krajów.

Podróżniczki po Afryce—J. N.	21, 32
--------------------------------------	--------

Myśli.

Złote ziarnka	11, 71, 107
Listki	179, 286, 346

Ilustracje.

Niewiasty a Grobu Chrystusa	145
Matka Bozka z Dzieciątkiem Jezus	601

Rysunki i wzory ubiorów i robót, oraz przepisy gospodarcze i kuchenne, na osobnym dodatku w każdym numerze.

Tablica z krojami—co drugi numer.

Na polance —przez Klaudyusza Sénéchal, tłum. z franc. B. K.	
Czas to pieniądz —przez Annę Wahlenberg, tłum. z szwedzkiego Konstantego Bończa-Bukowskiego.	
Promień —R. Monlaur—tłóm. z franc. M....tz.	
Wrażenia z podróży po wybrzeżu północnem Afryki — przez dr. W. Miklaszewskiego.	
Zmartwychwstanie bogów — przez Dymitra Mereżkowskiego, tłum. Eugenii Żmijewskiej.	



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80;
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni.

Laskauera i Babickiego.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebora i Spół. kwart. 5 marek.

Z NOWYM ROKIEM.

— Daj Boże zdrowia, i szczęścia, i wszelkiej
pomyślności!

Tem życzeniem rozpoczynamy nowy rocz-
nik „Bluszcza” i witamy Was łaskawe czy-
telniczki w tej nadziei, że odpowiecie nam
równie życzliwie, po prostu i po staropolsku:

— Daj Panie Boże!...

Stanęliśmy do mozolnej pracy o świtanie
nowego roku, który jest dopiero drugą godzi-
ną na zegarze bieżącego stulecia; trzecie zale-
dnie lub czwarte pokolenie zobaczy jego wska-
zówkę, dochodzącą do kresu pełnego obrotu
i wtedy zrobi obrachunek wieku, jak my to
uczyniliśmy z wiekiem ubiegłym, ale wtedy
kości nasze w proch się rozsypią i śladu po
nich nie zostanie.

Nie mniej każdy z osobna i wszyscy spo-
łem, ten pojedynczy i zbiorowy człowiek, je-
dnostka, rodzina, społeczeństwo, naród, ludz-
kość cała, powinny żyć, pracować i tworzyć
z myślą o pożytku nie tylko dla dnia dzisiej-
szego, ale i dla przyszłości,— nie tylko dla
siebie, ale i dla swoich następców.

A taka myśl uszlachetnia, wspiera i krzepi,
dodaje wiary i odwagi, godzi z niejedną prze-
ciwnością życia i losu, chroni od zniechęcenia
i zwątpienia, bo mówi w sercu człowieka:

— Jeżeliś zdziałał wszystko, co było w two-
jej mocy, jeżeliś w uczciwych zamiarach pra-
cował, jeżeliś z bojaźnią Bożą a z miłością bli-
źnich orał i obsiewał choćby najmniejszą piędz
tej ziemi, którą ci z Adamowej puścizny los
przeznaczył, nie obawiaj się o przyszłe pło-
ny,— nie zbierzesz ty ich, to zbiorą potomni!

Tylko samolubne dusze i chciwe natury
w tej myśli żadnej pociechy nie znajdują i za-
dnej zachęty dla siebie nie widzą; chciałyby
korzystać brać ze wszystkiego od razu, zapłatę
otrzymać nawet przed terminem, cały zysk ry-
czałtem zagarniać na własny tylko rachunek i
często „zboże na pniu sprzedawać,” bez wzglę-
du na to, czy dojrzeje i plennem się okaże.

Nie tak wszelako być powinno; nie wszyst-
ko teraźniejszość odebrać i dać może, nie ka-
żdy trud wynagrodzić, nie każde ziarno na-
szych myśli, czynów i zamiarów do kielkowa-
nia doprowadzić;— dlatego w każdej naszej
sprawie, w każdym działaniu i dążeniu winni-
śmy liczyć się z przyszłością, czynić ją dłu-
żniczką naszą i składać u niej w depozycie
choć cząstkę tego kapitału, który ona kiedyś
z odsetkami oddać ma naszym następcom
i spadkobiercom.

Z tą troską i dbałością o przyszłość, z tą
wiarą w jej rzetelność i sprawiedliwość, nale-
ży nam pracować w każdym zakresie, więk-
szym czy mniejszym, publicznym czy prywa-
tnym, i do takich pracowników wytrwałych,
ufnych, z dobrą wolą, z rozmysłem i poświę-
ceniem wołamy:

— Błogosław Boże, a dobrzy ludzie dopo-
mogą!...

W tym rzędzie zarobników przyszłości i my
stajemy,— i my pragniemy rzucać siew w umy-
sły i serca kobiet polskich, czując całą odpo-
wiedzialność za uprawę tej bujnej, wdzięcznej,
żyźnej niwy, którą chcielibyśmy widzieć błysz-
czącą kwieciami ideału, piękna, poezji, wyzło-
coną kłosami szlachetnych uczuć, zdrowych
pojęć i zasad, rozumnych dążeń, pożywnych
ziarn oświaty, a wolną od chwastów i kłokolu.

Wiemy dobrze, jak trudne zadanie przed
nami, ale wiemy także, jak zacny i wzniosły
cel, który nam przyswieca!...

Wśród kobiet cywilizowanego świata, żadne
dzisiaj nie mają tak ważnych, tak wielkich
i ciężkich obowiązków do spełnienia, jak na-
sze kobiety; nigdzie bowiem nie ciąży na nich
do tego stopnia odpowiedzialność moralna, ro-
dzinna, społeczna i humanitarna w zakresie
ich działalności, co u nas, gdzie godzić mu-
szą tyle sprzeczności między tradycją a po-
stępem, między idealnymi dążeniami a prak-
tycznymi warunkami bytu, szukać i stwarzać
środki zdobywania sobie powszedniego chleba,
bez narażenia osobistej swej godności, przy
ogniskach domowych strzedz, jak kapłanki,
świętości rodzinnego Znicza, dbać o żywotność
cielesną i duchową swych dzieł lub rodzeń-
stwa swego, a jednocześnie przechodzić ewo-
lucje kulturalno-społeczne, które nowoczesną
kobietę wystawiają na tyle prób i doświad-
czeń!...

Nigdzie też kobiecie nie stawiają tylu wy-

magań, nie nakładają na nią tylu obowiązków. a tak mało dają jej praw, tak mało dostarczają środków i tak w gruncie rzeczy nie wiele dbają o to, aby jej spełnienie tych wszystkich warunków i zadań umożliwić i ułatwić.

Powiada się kobiecie polskiej:

— Bądź idealną żoną, bądź rozumną matką i wychowawczynią, bądź wzorową gospodynią i praktyczną panią domu, bądź oświeconym człowiekiem i pożyteczną jednostką społeczną, bądź gorliwą pracownicą, wznies się ponad przeciętną miarę, ucz się, kształć, rozwijaj, postępuj, dojrzewaj, bo inaczej—bia-da ci!...

A ona z rumieńcem na twarzy, z okiem łzawem, z wyrazem zakłopotania, zmieszana i przygnębiona, nie brakiem najlepszych chęci, ale w poczuciu bezradnej swej sytuacji pyta:

— Gdzie, kiedy, jak?... jam gotowa, tylko mi wskażcie te drogi, te sposoby, te środki, przez które mogłabym się udoskonalić, rozwinąć, wywyższyć i waszym wymogom zadosyć uczynić.

Odpowiedź kłopotliwa i w tem tkwi właśnie fatalność położenia kobiet naszych, jeżeli się je porówna z sytuacją ich siostr w innych bardziej rozwiniętych, bardziej kulturalnych i lepiej zorganizowanych społeczeństwach.

W tak zwanej kwestyi kobiecej umieliśmy dotychczas akademickie tylko prowadzić rozprawy, walczyć na pióra i języki, krytykować i dowcipkować, z pustego przelewać w próżne, unosić się nad miarę w patetycznych wykrzykniach lub zbywać tak ważny i żywotny temat ironicznym uśmiechem, ale z dziedziny teorii nie próbowaliśmy szerszym krokiem zejść na jakiś grunt praktyczny i sprawę tę pierwszorzędną wagi rozwiązać w zastosowaniu do warunków naszych.

Były usiłowania pojedyncze, były skromne inicjatywy i to przyznać trzeba—ze środowiska samych kobiet, bardziej inteligentnych i energicznych, które na własną rękę, z hasłem samopomocy, z ryzykownym poświęceniem szły, nie szczędząc często ofiar nawet znacznych, ku temu realnemu celowi: podniesienia kobiety polskiej pod względem umysłowym, moralnym i praktycznym.

Powstało kilka instytucji, parę szkół fachowych, jedno czy dwa stowarzyszenia kobiece — i na tem koniec.

Najwięcej jeszcze zdziałała filantropia, ale to właśnie stanowi szczegół bardzo znamienny, że ruch w kierunku reformy, wychowania, oświaty, praktycznego zapewnienia bytu pracującej kobiecie, nosi u nas jeszcze przeważnie charakter—dobroczynny!...

Jakgdyby litość tylko i miłosierdzie miały obowiązek zajmowania się rozwiązaniem tej sprawy.

W traktowaniu kobiety ze strony tak zwanej „silniejszej połowy rodu ludzkiego“, przeważał najczęściej egoizm lub jakaś lekceważąca prawie pobłażliwość, jeśli nie konwencyonalna obłudą; przez tyle wieków przywykło się kobietę uważać za istotę słabszą, mniej rozwiniętą intelektualnie, ograniczoną przez swoje naturalne przeznaczenie tylko do sfery rodzinnych i domowych zajęć i obowiązków; chciało się widzieć w niej jedynie materiał na żonę, matkę i gospodynię a zapominało

o tem, że poza tą troistą funkcją, niezawodnie najważniejszą w życiu kobiety, drzemie w niej jeszcze tyle innych czynników ogólnoludzkich, które odezwać się również mają prawo a których zagłuszać nie wolno i nie należy bez pokrzywdzenia człowieka w kobiecie.

Im większe zaś wymogi stawiało się jej w charakterze żony, matki, wychowawczyni, gospodyni i dozgonnej towarzyszkii mężczyzny, tem większą popełniało się niekonsekwencyę, zacieśniając ją wyłącznie w sferze tych obowiązków, bez możliwości rozwoju i w innych kierunkach umysłowych, kulturalnych, humanitarnych.

Działo się to jednak głównie z obawy o moralność i o dobre obyczaje, ale o ile ten wzgląd niezaprzeczenie mógł usprawiedliwiać nieufność przeciw większemu wyswobodzeniu kobiety, tak łatwo skłonnej do wybryków źle pojętej emancypacji, o tyle narażał się często na zarzut nielogiczności.

Zasłaniałiśmy oczy kobietom troskliwą niaby o ich dobro ręką a dopuszczali niebacznie, aby nam przez palce zaglądały z ciekawością, właściwą ich naturze i ukradkiem poznawały zło i brzydotę, od których wpływu i zgorzienia pragnęliśmy je uchronić.

W błędnem rozumowaniu zdawało nam się, że nieznanomość i nieświadomość złego jest większą rękojmią dla moralności kobiet, aniżeli ugruntowanie w nich trwałych zasad i pojęć religijnych, etycznych i estetycznych.

Towarzyska obłudą i wychowawcza powierzchowność, oparta na formach tylko zewnętrznych i pozorach, więcej szkody przyniosły moralności, aniżeli jawne instynkta do zepsucia nie w tem bowiem niebezpieczeństwo, aby spojrzeć na zło, fałsz i szkaradę otwartem okiem, ale w tem tylko, jeśli się patrzy na nie z zajęciem, a bez wstrętu, odrazy i pogardy.

Uczciwa i czysta kobieta odwraca oczy, ale ich nie zamyka, udając, że nie widzi...

W ukochaniu prawdy, dobra i piękna leży największa i najpewniejsza siła oparcia się złym pokusom, uzbrojenia i zahartowania umysłu i serca na wpływy gorszące,—a religia i moralność, to dwie najtrwalsze dźwignie, które kobietę przez całe życie w równowadze utrzymać mogą.

Więcej zatem konsekwencji, więcej logiki i sprawiedliwej miary, więcej rzeczywistej dobrej woli i szczerzej chęci, a rozumnego poparcia i więcej czynów, zamiast słów w traktowaniu kobiety naszej!... oto, czego jej życzymy ze strony mężczyzn i do czego dążyć wedle sił i możliwości sami pragniemy.

Zdobywajcie częściej i szacunek, jako matki, przez rozum, dobroć i poświęcenie, — zdobywajcie uwielbienie, jako żony, przez miłość, wdzięk, wierność i poczucie obowiązków, — zdobywajcie podziw i uznanie, jako gospodynie, przez praktyczność, zaradność i gorliwość,—a w tych wszystkich dziedzinach waszej działalności świećcie umysłem, wiedzą, wykształceniem, imponujcie siłą charakteru i zasad humanitarnych i społecznych, — a nigdy nie zasługujcie na nieczyje współczucie, że tych zalet, cnót i przymiotów nie umiano w was ocenić i wynagrodzić, według zasługi i żeście nie umiały wziąć szczęścia, lub nie umiały niem obdarzyć waszych najbliższych!

To życzenie zasyłamy Wam z głębi serca na początku nowego roku, Czytelniczki, i niem rozpoczynamy z Wami nowy—da Bóg!—przyjazny stosunek na przyszłość.

* * *

W ciągu swego istnienia „Bluszcz“, założony przez p. Michała Glücksberga przed laty trzydziestu kilku, posiadał tylko dwie kierowniczkii, obie utalentowane poetki, kobiety intelligentne i wykształcone, poważnie i z głębokim przejęciem traktujące swoją rolę przewodniczek organu literacko-społecznego dla oświeconych czytelniczek; pierwsza, z nich, najzacniejszej pamięci Marya Ilnicka była właściwie duchową twórczynią pisma, torowała mu drogi, nadawała charakter, wyrabiała mu stanowisko w prassie, poczytność i zaufanie w szerokich kołach kobiecych.

Szlachetna idealistka, niepospolity talent i serce przez całe dziesiątki lat aż do zgonu wkładała w ukochany przez siebie „Bluszcz“, który rozrastał się pod jej troskliwą opieką, bujny, czysty i świeży, wolny od zwiędłych, pożółkłych i zeschłych liści, bo krążyły w nim soki zdrowe i pożywne.

Druga, również gorliwa ogrodniczka pięknych myśli i zacnych uczuć, szczepionych w „Bluszczu“, utalentowana poetka i autorka, znana pod pseudonimem „Szczęsnej“, z Cybulskich doktorowa Ludwikowa Bąkowska, natrafiła wprawdzie na czasy mniej dla pisma przyjazne, ale pracowała też wedle sił swoich około zachowania mu tradycji, zostawionej przez poprzedniczkę i utrzymania go na poziomie pożytecznego organu literackiego dla kobiet.

Obowiązek każe nam przy zmianie Redakcyi złożyć należny wyraz uznania i hołd obu tym przewodniczkom „Bluszczu“, wedle położonej zasługi i nazwiska ich, zapisane chlubnie w rocznikach pisma, przekazać wdzięcznej pamięci czytelniczek.

O udziale samego wydawcy w tej długoletniej, mozolnej pracy i historii „Bluszczu“ nie wypada nam jeszcze pisać do chwili, w której prawa nowych nabywców i kierownika redakcyjnego nie uzyskają zatwierdzenia władzy.

W zakończeniu niechaj nam wolno będzie, w błogiej nadziei urzeczywistnienia, wyrazić gorące życzenie, by stosunek pisma do jego czytelniczek przybrał ten charakter przyjacielski i życzliwy, jakim w najlepszych swoich czasach szczyliło się ono, kiedy „Bluszcz“ owijał się około serc i umysłów kobiet polskich.

M. G.



NOWY ROK.



O Nowy Roku, co z mgieł tajemniczych
Ku nam dziś idziesz w tej dobie —
Powiedz: czego się mamy spodziewać
O zagadkowy — po tobie?
Czyli nam zmienisz życia pustynie
W kwitnące, rajskie ogrody?
Czy nam inaczej życie popłynie,
Czy wróca dni, dni pogody?

Czy wrócą kiedy szczęśliwe lata,
Co naszym udziałem były,
Czy sny powrócą one tęczone
Co się już dawno prześniły —
Dziś — żal tych marzeń — zgasłych przedwze-
[śnie —

Rozkoszy czas opróżnionych —
O Nowy Roku! niechaj choć we śnie
Czar wróci dni przeminionych — —
O Nowy Roku! spraw, niech się do mnie
Życie na nowo zaśmieje —
Niech w wiosnie życia wiosna mych uczuć
Wróci, przynosząc nadzieję —
Niech zaznam ciszy, tej błogiej ciszy,
Co ducha rwie w błękity —
Gdzie się ech ziemskich nigdy nie słyszy...
Niech wróci sen mój — przeżyty...
A znowu zerwę się śmiałym lotem,
Na wielkie pnać się znów szczyty,
I znać nie będę jadu goryczy
Na dnie upojeń ukrytej...
Znowu żyć będę pełnią żywota,
Nim grób mój zimny pogrzebie —
Znowu mi zorza zabłyśnie złota
Na uczuć wiosnianych niebie...
Patrz — oto idę naprzeciw ciębie,
Z uśmiechem obojętności,
Duch mój niczego się spodziewa,
A serce już nie zazdrości —
I tylko pyta — z przedziwną wzdargą
Dla Twych uśmiechów — Wszechmocny!
Czy dola moja będzie tak twardą,
Trud każdy — tak bezowocny!...

Tadeusz Kończyński.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,



Według prastarego zwyczaju umajono i ukwiecono na uroczystość Zielonych Świątek parafialny kościół we wsi Obrywinie. Smukłe brzoźki białokore, w cztery rzędy przy ławkach umocowane, napępniały nawę zielonym cieniem i świeżością leśną, pachniało tatarskie ziele, po kamiennej posadzce rozsypa-
ne, u okien i obrazów zwieszały się gałązki głogu i pęki dzikiej róży, na ołtarzach rozpościerała się szerokolistna kalina i paproć kędzierzawa, barwiły się pęki polnych jaskrów, łąkowych złoćien i leśnych dzwonków. A ta obfitość roślinności nie była rozrzuconą bezładnie, z prostaczą naiwnością wieśniaczego gustu; przeciwnie, w jej doborze i układzie widniała zręczna i wprawna ręka, umiejająca ze skarbcza sielskiej natury wydobyć cały jej wdzięk przyrządzony i jej wytworną prostotę.

I nie tylko wzrok doznawał tu miłego wrażenia; słuch także otrzymywał część swoją. Z wysokiego chóru pod sklepienia nawy płynęły wspaniałe akordy organu, wtórzając kobiecemu głosowi, modulującemu głębokim, mięk-

kim kontraltem swojską melodyę starodawnego hymnu.

Kościół był pełen pobożnego ludu. Od drzwi wchodowych do balustrady, oddzielającej absydę od nawy, tłoczyła się zbita ława głów płowych, a pochylając się równomiernie na głos dzwonka, przypominała falujący od wiatru łąn dojrzalego zboża, wśród którego, jak maki i bławatki, barwiły się czerwone i niebieskie chusteczki kobiece.

W głębi absydy, w półmroku przeciętym barwnymi smugami, przez kolorowe szyby wpadającymi, wśród lekkich kłębow sinawego dymu, płynącego z trybularza, świeciła złota łamą wysoka postać księdza kanonika, a wyżej, ponad migoczącymi płomykami gromnic, promieniała monstrancja na tle ciemnym starożytnego obrazu, obrzeżonego śnieżnym wieńcem świeżych lilii, jaśminu i akacyi.

Po prawej stronie ołtarza, w kolatorskiej ławeczce, siedziały dwie panie. Starsza, ciemno odziana, uzbrojonych w binokle oczu nie odrywała od książki; młodsza, w elegancki poranny kostium z jasnego batysciuku ubrana, raz po raz wodziła roztargnionym wzrokiem po zebranym tłumie, a dłużej i uważniej zatrzymywała go na postaci wiejskiej dziewczyny, stojącej pod filarem na końcu balustrady.

Dziewczyna ta wyróżniała się z pomiędzy innych kobiet wiejskich, przeważnie krępych, płowowłosych, o okrągłych twarzach i szerokich nosach, była wysoka i wcięta, twarz miała zciągłą, z rysami trochę ostre, świeżą cerę śniadą, złotawo ogorzałą od słońca, ciemne, złoto nakrapiane oczy i ciemne ze złotymi przeblaskami włosy, wijące się naturalnie dokoła kształtnie sklepionego czoła. Ubrana była, jak inne wiejskie dziewczęta tej okolicy, w spódnice domowego wyrobu, w kolorowe prążki, granatowy gorset i niebieską, z głowy na szyję osuniętą chusteczkę; tylko koszula, u innych dziewcząt perkalowa, na niej była z jakiejś odmienniejszej tkaniny, u szyi i na rękawach suto złotą i srebrną nicią wyszywana.

Po nabożeństwie dwie panie poszły ku drzwiom zakrystyi, w których ukazał się młody człowiek, trzymający na ręku lekką okrywkę i zarzucił ją na ramiona młodej osoby. Ładna panna ładnie się do niego uśmiechnęła i rzekła półgłosem:

— Czy zauważyłeś, Zygmuncie, dziewczynę, stojącą pod filarem na lewo, przy końcu balustrady?

Zygmunt spojrział we wskazanym kierunku.

— Bardzo przystojna — odpowiedział.

— Ależ nie o to chodzi! Ma ona na sobie podolski bombak, haftowany przeslicznie; chciałabym koniecznie mieć takie hafty!

— Gdzie tego dostać można?

— Właśnie, że nigdzie!... te, które się zwykle kupuje, nie mają ani takiego deseni, ani takiego wykończenia.

— Bardzo mi przykro, ale cóż ja na to poradzę?

— Poradzisz bardzo łatwo! Pójdź, proszę cię, do tej dziewczyny, i zapytaj jej, zkąd ma te hafty; a jeśli sama wyszywa, to niech przyniesie mi próbki do obejrzenia.

— Dobrze. Niech panie na mnie nie czekają; przyjdę pieszko.

Wrócił do kościoła, a kiedy tłum ludu wysypał się na zewnątrz i idąca na końcu dziewczyna przystanęła w kruście u kioielnicy, zbliżył się do niej i pociągnął ją zlekka za rękaw.

— Moja kochaneczko — rzekł grzecznie, — hrabianka kazała cię zapytać, czy sama wyszywasz takie oto rzeczy, i czy nie mogłabyś zrobić dla niej czegoś podobnego?

Dziewczyna popatrzyła na niego uważnie i zastanowiła się chwilę.

— Dobrze, — odpowiedziała krótko.

— Więc przynies swoje roboty hrabiance do obejrzenia.

— Proszę przysłać do mnie, to dam próbki.

— A gdzie mieszkasz?

— W ostatniej chacie za wsią po tej stronie obrywu, naprzeciwko kościoła.

— W tej chacie z dużym sadem, którą nazywają Zieloną Zagrodą?

— Tak.

— Przy rodzicach mieszkasz?

— Nie; mieszkam z bratem.

— A jak się nazywacie?

— Kalinieccy.

W tej chwili zbliżył się do dziewczyny chłopak wiejski, w szarej bluzie, zciągniętej parciowym pasem, uderzająco do niej podobny, i wyszli razem z kruchy, a Zygmunt, posłyszawszy za sobą szelest, obejrzał się i spostrzegł zbiegającą po schodkach chóru panią w białej sukience, drobniutką, szczupłą i bladą. Ukłonił się i rzekł:

— Skąd pani bierze tyle kwiatów i tyle pieśni? Kościół — jak ogród, a śpiewnik pani — jak...

— Stary kalendarz z kantyczkami, — dokończyła panią, — z których zwykle czerpię. I kwiaty podobnego pochodzenia, bo z lasu i łąki.

Skinęła mu głowę uprzejmie i odeszła ku drzwiom zakrystyi.

Hrabianka postanowiła obejrzeć na miejscu owe hafty, których jej się zachciało, więc tegoż dnia przed wieczorem wybrała się w towarzystwie kuzyna Zygmunta na przechadzkę w stronę chaty nad obrywem. Szli polną miedzą, poprzedzani przez starego służącego, który drogę wskazywał i niósł okrycie panią. Panią, w obcisłej jasnej sukni i fantazyjnym kapeluszu na kasztanowatej fryzurce, szczebiotała wesoło, i zdawała się mocno zadowolona z tego, że jest ciekawą, jak trzciną, delikatną, jak cieplarniany kwiatek, szykowną, jak autentyczna paryżanka, i że jej towarzyszy patrzy na nią z widoczną przyjemnością. Jej towarzyszy był przystojnym szatynem średniego wzrostu i mocnej budowy; obie te postacie tworzyły razem bardzo ładne zestawienie kobiecego wdzięku i męskiej siły.

A miała ta panna wdzięku więcej, niż piękności, i to jej nadawało typową powierzchowność kobiety współczesnej. Każda epoka — jak każda szerokość geograficzna — wytwarza specjalne typy. Klasyczny spokój starożytnych odzwierciedlał się w regularnych liniach twarzy i posagowych kształtach ciała; czynne życie i rozwój fizycznej siły w wiekach średnich nadawały ludzkiej postaci jędrną świeżość i harmonijną muskulaturę; obecnie wyrafino-

wana cywilizacja i przedrażnienie nerwowe wyrobiły—u kobiet zwłaszcza—tę ruchliwość fizyognomii, to pogłębienie wyrazu, tę oryginalną, jakby kapryśną linię rysów, które, jeżeli się łączą z nieśmiertelnym, chociaż ciągle odmiennym urokiem niewieści, tworzą całość nieporównanie wabną i pociągającą — i taką była panna Wielolećka, córka właściciela Obrywina.

Panna Wielolećka przed kilku dniami powróciła do ojca po całorocznym prawie pobycie u ciotki, z którą bywała w świecie, gdyż matki nie miała. Pan Zygmunt Nabrzeski z Nabrzeżan był najbliższym sąsiadem Obrywina, krewnym panny i jej narzeczonym.

Młoda para była sobie już od lat trzech przyrzeczona, a znała się od dzieciństwa, ale dość powierzchownie.

Hrabia Wielolecki, wdowiec od lat siedmiu, żył po kawalersku, a córkę wychowywał w Krakowie, u Urszulanek, i zabierał ją do domu tylko na parę tygodni w czasie wakacji, których resztę spędzała u ciotki. Mewa, — bo nazywała się Marya-Ewa, a moda obecnie wymaga, aby imiona patronek przekształcały się w Myszkę, Muszkę, Żabkę i tym podobne stworzonka, — Mewa miała rok siedemnasty a Zygmunt—dwudziesty drugi, gdy raz w piękny letni wieczór, na ogrodowej terrasie obrywińskiego dworu, patrząc na mrugające gwiazdy i oddychając wonią kwitnącego jaśminu, spostrzegli się, że się kochają, i powiedzieli to sobie. Ponieważ byli za młodzi, ułożonem zostało przez starszych, że pobiorą się dopiero za trzy lata, gdy najpierw pokończą nauki a potem ona obezna się trochę z życiem towarzyskim, on zaś z gospodarską działalnością. Następnym wakacjom panią przyjechała do Obrywina z Paryża, gdzie ją ojciec oddał dla dokończenia edukacji, jeszcze w krótkiej sukni, a w rok potem wróciła do domu już jako zupełnie dorosła panna, ale znów na czas krótki, bo zabrała ją ciotka, dla wprowadzenia jej w towarzystwo.

Ciotka, osoba światowa, rada, że zabawi się sama, bawiąc siostrzenicę, odbyła z nią najpierw karnawał letni w Warszawie, potem sezon zimowy w Krakowie, gdzie stale mieszkała, na koniec, dla wzmocnienia rozstrojonych ciąglem podnieceniem nerwów i wykończenia rozwiniętej niemoralnym trybem życia anemii, powiozła ją na czas dłuższy zagranicę, a pobyt ich w modnych stacyach na południu, u wód i nad morzem, był znów jednym ciągiem towarzyskich rozrywek. Teraz pan Wielolecki uznał, że córka jego jest już dostatecznie przygotowaną do objęcia, jako mężatka, stanowiska pani domu, i zabrał ją do Obrywina, z kądem po paru miesiącach miała się przenieść do Nabrzeżna, jako pani Zygmunta Nabrzeska.

Idąc zwolna połą miedzą, pomiędzy dwoma jasno-zielonymi smugami kłószącego się zboża, narzeczeni gawędzili wesoło, przekomarżając się trochę z sobą.

— Wiesz, Zygmunco—mówiła Mewa — ciekawa jestem wnętrza chłopskiej chaty. Byłam raz kiedyś u mojej mamki; ale tak dawno, że nic nie pamiętam.

— A indyjskie wigwamy i hotentockie kraale pewnie znasz i pamiętasz? — zapytał narzeczony.

— Naturalnie! Tyle się przecież o tem czyta i widuje się to na każdej wystawie.

— Cobyś też powiedziała o elegantce, która wie, jak wygląda czyjś kapelusz, a o swoim nie ma wyobrażenia?

— To co innego! mój kapelusz mnie interesuje.

— A chłop obrywiński nie cię nie obchodzi?

— Nie a nie! — odparła ze szczerem przekonaniem. — Cóż mnie mogą obchodzić istoty, które się nie myją, nie czeszą—i ucierają nosy przedhistorycznym sposobem?

— Nigdy nie będą umieli myć się, czesać się i tak dalej, jeżeli ci, co używają chustek do nosa, nie nauczą ich tego.

— Jutro każę pannie służącej rozdać folwarcznym dziewczkom cały mój zapas paryskich mydełek; ale zobaczysz, że je zjedzą na podwieczorek!

Zygmunt popatrzył na nią badawczo i rzekł poważnie:

— Jakaś ty się zmieniła, Mewo!...

— Co? może nie na awantaz? — odparła, stając przed nim zręcznie przegięta i przechylając główkę z zalotnym uśmiechem.

— Zmieniłaś się wewnątrz... Dawniej byłaś inną...

— Dawniej byłam pensyonarką z klasztoru, która spuszczała oczy i potakiwała we wszystkim przemądrzałowemu kuzynkowi z uniwersytetu.

— Więc byłaś inną — czy nieszczerą?

— Byłam dobrze wychowanym podlotkiem. Ale i ty zmieniłeś się, mój drogi, boś znużniał!... Musiałeś tu w mojej nieobecności obczytywać się tych swoich socyologów — i twój umysł ocieślał.

— Ponieważ mamy uzupełniać się wzajemnie, mogę lekkość umysłową pozostawić mojej drugiej połowie.

Teraz ona popatrzyła na niego uważnie.

— Zygmunco! — rzekła z wyrzutem, — czy chcesz mi na seryo dokuczyć?

Zygmunt zmieknął od razu.

— Nie możesz tego myśleć, Mewo! — odparł żywo.

Ujął jej rękę, obciągniętą w miękką rękawiczkę, a jej oczy błysnęły figlarnie, i zaczęła przekomarżać się znowu, co ją widocznie bardzo bawiło.

— Cofam moje zarzuty — rzekła, śmiejąc się. — Nie znużniałeś jeszcze zupełnie, ale jesteś na złej drodze i muszę temu zaradzić. Czy wiesz, co zrobię, skoro tylko obejmę panowanie w nabrzeżańskiej rezydencji?

— Zrobisz, co zechcesz, najjaśniejsza pani! Każesz dom obrócić do góry fundamentem — sam zaraz murarzy sprowadzę

— To później—kiedy się już mężem bawić przestanę — i zapragnę niezwykłych wrażeń. Ale przedewszystkiem wysortuję ci bibliotekę — i wszystkich twoich ciężkich pedantów potnę na papiloty.

— A moje piękne szafy dębowe będą pustkami świeciły?

— O nie! zapełnię je sama.

— Czemże to?

— Sensacyjnymi utworami najświeższej belletrystyki, z których będziesz studiował psychologię miłości.

— Któż ci będzie wybierał te sensacyjne utwory, które znasz jedynie z katalogów?

— O, Zygmunco! pozwól się zakonserwować w spirytusie, jako ciekawy zabytek średniowieczny! Więc ty myślisz, że dzisiejsze panny czytają tylko to, co im stare guwernantki zalecają?

— Tak pojmujesz samodzielność kobiecą?... A czy to w owej sensacyjnej belletryście studiowałaś system, podług którego bałamucilaś wczoraj tego głupiego Fryda?

— Po pierwsze, Fryd nie jest tak głupim, jak ci się wydaje, a po drugie, bałamucenie, jest to wyraz przestarzały, który już zupełnie wyszedł z użycia.

— Więc jak się nazywa rzecz, która była wczoraj w użyciu pomiędzy tobą a Frydem?

— Nazywa się flirt, Irokezie! i dowiedz się przy tej sposobności, że w tę niewinną grę towarzyską...

— Ty żartujesz ciągle, kiedy ja chciałbym poważnie z tobą pomówić.

Mewa spojrzała na zachmurzoną twarz narzeczonego — i przestała się śmiać.

— Więc ci powiem zupełnie seryo — rzekła, — że możesz być o mnie spokojnym. Lubię się czasem kim pobawić, bo to bardzo przyjemnie grać na czyichś nerwach, jak na dobrym fortepianie: trącisz jaki chcesz klawisz — i odpowiednia struna zaraz ci się odezwie jakim chcesz dźwiękiem... Ale to są po prostu egzercezye na instrumencie uczucia; właściwą melodyę gra się tylko na cztery ręce — tylko z jednym...

Zwykłym swoim ruchem przechyliła na bok zgrabną główkę i spojrzała prosto w twarz narzeczonemu. A oczy miała nadzwyczajne! z pod rzęsy czarnej, jak chmura, migoczące jak błyskawice, razem jasne i ciemne — szarozielone z rozszerzoną źrenicą — pogłębione siławem podkrążeniem, mieniające się wyrazistą grą uczuć, myśli i wrażeń.

Pod tem spojrzeniem rozchmurzyło się czoło Zygmunta. Pocałował graniczną linię rękawiczki na jej ręczce i rzekł miękko:

— W tej chwili jesteś bardzo miłą...

— Tylko miłą? — przerwała pieszczotliwie.

— Najmilszą!... — poprawił się; — ale często teraz mówisz rzeczy, które mię kołają, jak szpilki.

— Powiedz sobie wtedy, że to żarty, a zgadniesz pięć razy na dziesięć.

— Jabyłm ciebie nie chciał zgadywać; jabyłm chciał czytać twój charakter, jak...

— Jak anons w Kurjerku!

— Znowu mię śmiechem zbywasz...

Przygryzł dolną wargę, a jej nagle zgasł uśmiech na ustach i oczy zwilgotniały.

— Zygmunco — zawołała — dajże mi być wesołą! niech się nacieszę życiem, tak, jak ot ten kwiatek cieszy się wiosną, nim przyjdzie mróz, który go zwarzy!

Zerwała różową koniczynekę i nerwowo obskubywała jej listki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



DEOTYMA.

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM”).

Rzecz dzieje się w Wiedniu, dnia 6-go września 1683-go roku, na tydzień przed zwycięstwem Jana III-go.

Zakończenie poprzedzającej Pieśni przedstawia chwilę, w której Kólczycki (Dolmecz, czyli Tłumacz Kompanji Wschodniej), spotyka na ulicach Wiednia swego sługę, Polskiego chłopca Jana Michałowicza, powracającego ze swojej czwartej, bohaterskiej wyprawy za miasto. Na ten raz, Michałowicz przeprawiwszy się przez Dunaj, widział na własne oczy Króla Jana, i przynosi od niego ustną obietnicę pomocy. Wiedeńscy witają go z radością. Znużony kilku bezsennymi nocami, sługa wraca do stajni ze zdobycznym koniem, i wnet usypia snem kamiennym, a jego pan wstępuje do aptekarza Moritza, z którego córką Urszulą niedawno się zaręczył. Zastaje tam rzeźnika Grzegorza Pahra, słynnego z ilości głów Tureckich, jakie już pozatykał na murach stolicy. Panna Urszula zastawia dla ojca i obu gości obiad, bardzo skromny, ale który przy ogłodzeniu miasta, wydaje się prawdziwą ucztą. Podczas obiadu, wszyscy chętnie słuchają dowcipów Kólczyckiego, który — jak wiemy z wiarygodnych źródeł — był człowiekiem wesołym i lubionym, ale zarazem wielkim samochwalcą i nieukiem, tém śmieszniejszym, że ciągle popisывał się z przytaczaniem dziejów starożytnych, gdzie niemiłosiernie mieszał daty i fałszował imiona. Gdy biesiadnicy w najlepsze są zasluchani, rozbudza ich jakiś huk straszliwy, po którym poznają wybuch nieprzyjacielskiej miny. Wkrótce też odzywa się dzwonięcie na trwogę, wzywające mieszkańców do obrony murów. Pahr i Kólczycki chwytają za broń, chcą zabrać z sobą i Michałowicza, ale nie mogą go się dobudzić, wybiegają we dwóch na miasto.

(Na żądanie autorki, zachowujemy interpunkcję i pisownię według oryginału).

„Ach prędzój! Prędzój! Czyż nic nie słyszycie?»

— Tak z gockich wyżyn Szczepańskiej budowy,

Na cztery wiatry brzmiał dzwon Alarmowy.

Dzwon smutny, dziwny. Przez długie zużycie,

Miał serce zdarte i pierś wyplakaną,

Że aż go w Wiedniu «Angsternem» przezwano.

Ach, i niepróżno, prorok na kościele,

Ostrzegał płochą stolicę! Gniew boski,

Oniemiał dzwony głoszące wesele,

Zostawił tylko dzwon troski.

Wszystkie tu wieże zamilkły od chwili,

W której Kommendant wprowadził załogę.

Zaraz Wojskowi Radnym oświadczyli,

Że gdzie jest nadto sygnałów «na trwogę»,

Tam twoga w popłoch i nieład urasta;

Więc Władze, dbałe o karny stan miasta,

Bicia we dzwony srodze zakazały.

Sam tylko «Angstern» mógł bić. Tym «Angsternem»,

Jakby szlochaniem ojczyzny niezmiernem,

Wzywano ludność na wały.

Gdy Pahr z Kólczyckim wyszli uzbrojeni,

Już tłum przeciągał. A ciągnął bez huku,

Bowiem ulice odarto z kamieni,

Aby się kule nie tłukły po bruku.

Ludzie spieszyli, lecz było im kopno.

A niebo miało jakąś twarz okropną.

Bomb i pocisków bił deszcz nieustanny.

Jedne z nich, czarne, wprost biegły do mety.

Inne, puszczone w łuk, jakby z fontanny,

Szły na dół, głową komety.

Już kilka padło na głów ludzkich nawał;

Ryły się w piasku, pękały ze świstem;

Kogo dotknęły, ten w drodze zostawał.

Inni, szli dalej pod niebem ognistym.

A każdy wiedział jaką pójść ma stronę,

Bo miejsca Zborne pilnie wyznaczono.

Wszyscy się tylko pytali cichaczem:

— «Gdzie była mina? Czy mury znów prysły?»

A nikt nie umiał odpowiedzieć. Zaczem,

Snuto najgorsze domysły.

Nasi znajomi, dwa junaki szczerze,

Szli naprzód. Polak, twierdził że grad pada.

Rzeźnik, przez ramię zwiesiwszy siekiere,

— «A co?» — Zagadnął. — «Mam ja węża nielada,

«Że i na obiad poszedłem z toporem.

«Wezrę posłyszysz o nim przed wieczorem.»

— «Ph!» — Rzekł Kólczycki. — «To broń dla atletów.

«Ja wszakże za nią, nie dałbym na wymian

«Mego muszkietu. Z takich to muszkietów,

«Party strzelały do Rzymian.»

Tu ktoś zawołał: — «O.... Konny nadbiega

«Od strony Burgu. Może nam co powie?

«Koń jakiś pański.... To koń Kielmansegga,

«Tego młodszego.» — Wnet Wiedeńczykowie,

Zaszli mu drogę, pytali w zawody:

— «A gdzie ten wybuch? A duże tam szkody?»

— Jeździec odkrzyknął: — «Pod Löbelbastają!

«A jakie szkody? Sami zobaczycie.

«Tylkoż tam idźcie, bo chodzi o życie,

«Już Turcy szturm przypuszczają.

«Ba! Już Komendant chwytą się za głowę,
 «Czemu Kompanje ciągną tak pomalu?
 «Puśćcie mnie ludzie..... Stryj, do Arsenalu
 «Kazał mi lecieć po granaty nowe.»
 — Rzekł. A że jechał koło kordegardy,
 Więc się porządził młodzieniaszek hardy.
 — «Hej, warta!» — krzyknął. — «Zabębnić na trwogę!
 «Niechże mieszcuchy już ruszać się zaczną.»
 — I rad tej myśli, poleciał w swą drogę.
 Ale myśl była niebaczną.

Skoro dobosze uderzyli w bębny,
 (Rzecz, której także zabraniano w mieście),
 Przeraził wszystkich ten sygnał odrębny.
 Zewsząd się krzyki rozległy niewieście:
 — «Już Turcy wpadli! Już rabują! Pała!»
 I tłum powrotną zawirował falą.
 Wstrzymując mężczyzn, wisząc im pod szyją,
 Żony, i matki, i dzieci, wołały:
 — «Zostańcie z nami! Nie idźcie na wały!
 «Niech nas choć razem zabiją!»

Biedni mężowie! Biedniejsi ojcowie!
 Jak się tu wyrwać z tej powrotnej fali,
 Co łzami smaga? Jednak się wyrwali.
 Szli, cisnąc kułak na stroskaną głowę.
 Ale zła droga wytrzeźwiła mężów.
 Im bliżej Burgu, tem iść było ciężej.

Stały tam różne umyślne zawady,
 Które dźwignęli własnymi ramionami,
 Rozpaczne środki ostatniej obrony,
 Gotowe — na dzień zagłady.

Tu, z różnych sprzętów był wał kostropaty,
 Ówdzie, łańcuchy biegły w poprzek drogi.
 Tam znowu z okien wyrąbane kraty,
 Ślusarz pozbił na płot czarnorogi.
 Gdzie nie gdzie nawet, w ciasniejszych zaułkach,
 Stawiano ściany ruchome na kółkach,
 Co zamykały ulicę jak wrota.
 — Mężowie brnęli. To wpadli w głąb domów,
 To wypływali z drugiej strony płota,
 Świadomi furt i załomów.

Nakoniec wyszli na Hof, co dla mieszczan
 Był placem Zbornym. A że zastęp nowy,
 W różnych Kompanjach miał być porozmieszczan,
 Więc się żegnano, zrywano rozmowy.
 — Kółczycki służył w Ochotniczym Pułku,
 Co lubił wszędzie stawać na przyczółku,
 Bo liczył takich świszczypalek trzysta.
 Jego Pułkownik, człek spasy i hoży,
 Był to przesławny w mieście Oberżysta,
 Ćwik wielki, Pan Franck Ambroży.

(Ciąg dalszy nastąpi),



Prawda w wychowaniu.

Najbardziej charakterystyczną cechą, wyróżniającą wyższe umysłowości od niższych, jest zdolność przewidywania przyszłości. Człowiek ucywilizowany pragnie ogarnąć myślą mogące się napotkać w przyszłości przeszkody, tudzież zmienić postępowanie, stosownie do przewidywanych okoliczności, im bardziej jest rozwinięty, tem pilniej i tem bacniej wpatruje się w przyszłość.

Wychowanie jest jedną właśnie z tych dróg, po których działalność ludzka ku lepszej zdąża przyszłości *).

Jakież miejsce zajmuje wychowanie wśród wielu dróg, któremi ludzkość posuwa się naprzód? Otóż celem jego jest rozwinięcie w człowieku takie podstawy, na których opierając się, każdy mógłby wybierać najszlachetniejsze i najopowiedniejsze środki dążenia. Jeżeli całego gmachu wychowania nie ugruntujemy na odpowiednich fundamentach, stać będzie

tylko póty, dopóki nie zerwą się przeciwne wichry i nie zatrzęsą węglami budowy.

Jakież więc dać podwaliny pod ten gmach duszy ludzkiej, żeby ostała się przeciw największym przeciwnościom i wyszła z walki zawsze białą i nieskalaną? Wiadomą jest rzeczą, że szczęście osobiste nie zawsze idzie w parze ze szczęściem ogólnem, że często trzeba się wyzbyć pierwszego dla drugiego. Jakże więc łatwo przy takich warunkach zbończyć z prawdziwej drogi i błąkać się wśród manowców osobistego zadowolenia i egoizmu, który, jak uczy psychologia, jest jednym z objawów instynktu samozachowania i jest właściwym zarówno dzieciom, jak i dojrzałym ludziom, zwłaszcza zaś na niższym szczeblu kultury.

Żeby zaś uniknąć sprzeczności między dążeniem do szczęścia osobistego i ogólnego, koniecznem jest umieć odróżnić prawdziwe drogi od fałszywych, dobre od złych. Nie dość jednak posiadać świadomość prawdy, gdyż jak wykazuje statystyka, najwięcej zbrodniarzy i w dodatku najniepoprawniejszych dostarcza inteligencja, ale nie przejęta miłością prawdy *). Nie dość zatem posiadać świadomość

mość prawdy; by dążyć jej drogą, koniecznie trzeba ją kochać. Słowem, za podstawę odróżnienia prawdziwych i fałszywych dróg należy wziąć poznanie prawdy, za podstawę urzeczywistnienia prawdy — jej umiłowanie.

Jakże jednak dziecko może poznać prawdę, skoro umysł jego jest jeszcze zbyt uśpiotym, żeby posiadał zdolność odróżniania subtelnych pojęć, jeśli go nie nauczymy własnym przykładem?... Kochać zaś możemy to, co znamy i uważamy za godne naszej miłości. Ponieważ zaś dziecko nie zna i nie może oceniać należyte prawdy, nie może więc jej pokochać bezpośrednio; ale jak my kochamy przyjaciół naszych przyjaciół, jak lubimy ich portrety i drogie im przedmioty, tak samo i dziecko może pokochać to, co nam jest drogą.

Pokażmy mu własnym przykładem, że należy kochać prawdę, a niewątpliwie pójdzie ono naszymi śladami. Jeżeli zaś, jak dowodzi Guyau *), wychowanie jest niczem innym, jak zbiorem podporządkowanych i wyrozumowanych poddań, że jest zatem nieskończone złożonym szeregiem sugestii umysłowych, moralnych i społecznych, w takim razie trud nasz nie będzie daremny, ale przyniesie najobfitsze plony.

*) S. Karpowicz: «Cel i zadania wychowania.»

*) Nicolay: «Dzieci źle wychowane.»

Przytoczę tu jeden, zaczerpnięty z książki p. Kowerskiej *), przykład, znakomicie ilustrujący, do jakiego stopnia może dochodzić potęga sugestyi. „Do pewnej prawdomównej matki (byłam tego świadkiem) przybiegło raz z ogrodu dwoje dzieci, z których jedno pięć, drugie sześć lat mieć mogło. — „Prawda mammo — zawołał Oleś — że bratek ładniejszy od fijołka, a Julcia mówi, że fijołek ładniejszy?“ — „Julci się lepiej podoba fijołek, a tobie bratek,“ odrzekła matka. — „Ale mama niech powie, który z tych kwiatków ładniejszy?“ — „Który ładniejszy? Nie wiem, ale ja wolę fijołek.“ Oleś, starszy z dzieci, zafrasował się: „Kiedy tak, to Julcia powiedziała prawdę.“ I pomimo tłumaczeń matki nie mógł zrozumieć, iżby mogło być inaczej.

Możemy jednak zapytać się, czemu nie spotykamy podobnej sugestyi na każdym kroku? Odpowiedź łatwa: sugestya słów nigdy nie wywiera równych wpływów, jak sugestya czynów, na pewno zaś matka, o której przed chwilą mówiliśmy, używała tej ostatniej, nigdy nie oszukując dziecka i zyskując w ten sposób zupełnie jego zaufanie.

Przejdźmy teraz do faktycznej strony naszego artykułu i przypatrzmy się, jak zwykle postępujemy z dziećmi, a jak postępować należy?

„Zaledwie dziecko zaczyna dawać znaki rozumniejszego życia, już staje się ofiarą najrozlicniejszych kłamstw i zwodzeń, i podstęp zna już z doświadczenia.“ Stwierdzonem jest, że dziecko najwięcej okazuje skłonności do kłamstwa około piątego roku życia. Jeżeli zaś raz spaczmy duszę młodocianą, trudno będzie naprawić to, cośmy zepsuli. Znaną jest rzeczą, że nieskończenie łatwiej jest prowadzić dziecko po równej drodze do określonego celu, niżeli zwracać je z fałszywej drogi, gdy dążenie po tej ostatniej przeszło w przyzwyczajenie; wszak już łacińskie przysłowie mówi, że „*consuetudo est altera natura*.“ Należy zatem unikać wszelkich fałszywych obietnic, zwodzeń, czczych grózb i wogóle wszystkiego, co nie ma być spełnionem. Nie mówiąc już o niankach, jak często zdarza się słyszeć, że rodzice, chcąc ułatwić sobie zmuszenie dziecka do jakiej czynności, mówią mu: „Jeżeli zrobisz to a to, dostaniesz konia na biegunach, kupimy ci lalkę i t. d.“ Dziecko da się wziąć na te obietnice raz, drugi, dziesiąty, ale wreszcie zrozumie, że to fałsz, i nie dość, iż nie spełni następnym razem rozkazu, popartego tego rodzaju obietnicą, ale — co gorsza — straci wiarę do rodziców i w duszy jego zasieje się ziarno kłamstwa.

Toż samo tyczy się czczych grózb. Raz i drugi dziecko, przestraszone groźbą, wypełni rozkaz, ale jeśli się przekona, że rodzice straszą je tylko, znów traci wiarę w prawdę ich słów i uniemożliwia dodatni na nie wpływ. Nawet podczas choroby, podając dziecku lekarstwo, nie można go okłamywać, mówiąc, że lekarstwo jest smaczne. Nieskończenie lepiej zwrócić się do woli dziecka, która nie jest tak mało wyrobioną, jakby się nam to zdało.

Najlepiej zaś w takich wypadkach wytłumaczyć mu, że tak trzeba lub inaczej nie można, a następnie użyć powagi swej i miłości, jako podpory dla jego woli. Unikniemy przez to walk, osłabiających naszą powagę, a co za tem idzie, nie stracimy możności wywierania sugestyi, w dziecku zaś wyrabiamy wolę i zrozumienie, że tylko przez prawdę należy dążyć do celu.

Jakże często zdarza się, iż dzieci chwytają rodziców na kłamstwie, obłudzie lub fałszu. Nie więc dziwnego, jeżeli postępując lub mówiąc kłamliwie, malec powie sobie: „Robię, jak moi rodzice!“ Widząc zaś z codziennych przykładów, jak kłamstwo ukazuje się użytecznem, dziecko staje się skłonne do udawania i podstępu.

„Oczyśćcie dom z fałszu, obłudy, kłamstwa, zarówno większego, jak i najdrobniejszego, bo jeżeli małe dziecko już kłam w życiu i słowach rozeznac umiało, dorastające chłopię dośledzi wszystkie jego odcienia i nauczy się na przykładzie rodziców wypaczać własne uczucia... Tylko dom rodzicielski może dać przykład prawdy.“ (Kowerska).

Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na to, że nasze pojęcia, nasz honor, nasze sumienie mogą być czyste, jak łąza tylko wtedy, jeżeli idziemy drogą prawdy, to sądzę, że w najmniejszej drobnostce nie odstępimy od niej. Z ziarenka fałszu, rzuconego w młodocianą duszę, z czasem wyrośnie całe drzewo, które pokryje się owocem wstrętnych i podłych czynów. Każdy więc, kto choćby najmniejszą kropelką tego jadu zatrue duszę dzieciny, niech pamięta na skutki, które rozleją się na całe pokolenia, przechodząc z jednego na drugie!...

Henryk Rygier.



Ferdynand Hoesick.



NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

VEVEY.



Kazimierzowi Tetmajerowi
za „Qui amant.“

Lemańskiego jeziora wolają mnie fale,
Zwierciadła, kędy gwiazdy i wysokie góry
Widzą obraz swój cichy na sinym kryształ... *)

Olbrzymi taras. Wzdłuż kamiennej — ukwieconej z zewnątrz — balustrady, z kwiatami i aloesami w wazonach, zielenią się gęsto ustawione palmy, mirty, kwitnące oleandry, drzewa pomarańczowe i cytrynowe. Zresztą taras cały, z piękną fontanną pośrodku, z mnóstwem przepysznych kwietników i klombów, czyni wrażenie wiszącego ogrodu Semiramidy, pełnego najrzadszych roślin i krzewów podzwrotnikowych, ogrodu, w którym, jak w pieśni Goethowskiej Mignony, „bujają laur i cyprys cicho stoi.“ Nadto kwitną tu wielkie krzaki magnolii, których odurzająca woń miesza się z zapachem róż, fijołków i rezedy.

Kilka olbrzymich rozłożystych platanów, przez których zbitą liściastą gęstwę nie przedostaje się ani jeden promyk złotego słońca, dają orzeźwiający cień i chłód nawet w najskwarliwsze południe. Kilka altanek, całych zarośniętych powojem, tudzież parę ogromnych parasoli w białe i czerwone pasy, również chronią przed upałem. Przy balustradzie, pod platanami, jak w ogóle w miejscach ocienionych, stoją wygodne fotele koszykowe, krzesła, stoliki, ławeczki. W basenie fontanny, otoczonym czterema latarniami na spiżowych słupach, a pełnym lilii wodnych, pływają złote rybki, a fontanna, jakby powiedział Słowacki, „wciąż jęczy rozplakany szumem.“

Tył tarasu, na którym zawsze przechadza się lub siedzi sporo osób, stanowi kolosalny czteropiętrowy front „Hotelu des trois Couronnes“ z oszklonemi werendami na dole, z mnóstwem ukwieconych balkonów na każdym piętrze, z drewnianymi okiennicami i markizami płóciennymi przy wszystkich oknach, z trzema wielkimi złożonemi koronami nad środkowymi oknami drugiego piętra, z ogromną chorągwią powiewającą nad mansardowym dachem.

Stanąwszy przy balustradzie, ma się pod sobą, o piętro niżej, ulicę w formie szerokiego bulwaru, z chodnikiem ocienionym rzędem przepysznych platanów, których liściaste konary, porożpinane na żelaznych prętach, tworzą jedno nieprzerwane sklepienie, ciągnące się przez całą długość ulicy, rzekłbyś zieloną wstęgą. Tuż za granitowem ogrodzeniem bulwaru — zwanego Quai Perdonnet — mieni się, niby za burtem okrętowym, szafirowy błękit Lemanu, rozległa płaszczyzna wodna, nad którą fruwały mewy, po której blisko lądu pływają łabędzie, a dalej białą się trójkątne żagle łodzi, mkną statki parowe. Dokoła jeziora, usianego miasteczkami po brzegach, piętrzą się granitowe ściany Alp: naprzeciwko ciągnie się dziki, skalisty łańcuch sławnych z „Nowej Heloizy“ gór Meillerie, w głębi zaś, po za zieloną doliną Rodanu, lśnią opalowe lodowce majestatycznego Dent du Midi, za którym dalej zjeżdża się poszarpany Mont-Vélan, sąsiadujący z piramidalnym i również usnieżonym Mont-Catogne. Z po za nich wyglądają lodowe szczyty Św. Bernarda. Po lewej stronie doliny Rodanu, którą się ztąd ogarnia jednym rzutem oka, z Rodanem wijącym się pośrodku, niby srebrzysta wstęga, dominują dwa kończyste szczyty Dent de Morcles, również pokryte wiecznym śniegiem.

Przed niemi, odbijając się w lustrzanej toni jeziora, wznoszą się piętrami garbate Rochers de Naye, w dolnej połowie powleczone bujną zielonością lasów, ogrodów, winnic i łąk, a nagie i szare w górze. Na jednym z niższych pięter, wystającym na podobieństwo tarasu, odcinają się jasne domy Glion, skąpane w zielonych kłębach drzew. Na przodzie króluje olbrzymi Palace-Hotel, wyglądający zdaleka, niby jakieś średniowieczne zamczysko. Na wyższym piętrze widać miasteczko Caux. Im bliżej ku Vevey, tem góry stają się coraz bardziej faliste i połogie, coraz bardziej pokratkowane winnicami, co bynajmniej nie przyczynia się do urozmaicenia krajobrazu. Na szczęście, dolna część widoku, mianowicie samo wybrzeże nad wodą, jest nie-

*) Guyau: «Wychowanie i dziedziczność.»

**) «Wychowanie macierzyńskie» Kowerskiej.

*) Byron «Wędrowki Childe Harolda,» pieśń III.

słuchanie malownicze. Brzeg tu wydłuża się w spory półwysep, cały w ogrodach i willach, a zakończony dwiema okrągłymi basztami zamku z XIII-go wieku, ongi rezydencji jednego z magnatów sabaudzkich. W pobliżu tych baszt, z ponad odwiecznych drzew ogrodu zamkowego, wystrzela kilka smukłych topoli włoskich, a wszystko to, nie dość, że swą ciemną zielenią stanowi przepyszny kontrast z jasno-modrem jeziorem, ale jeszcze odbija się w jego zwierciadlanej tafli. Półwysep ten zowie się Tour de Peilz. Na krótkiej przestrzeni pomiędzy nim a tarasem „Hotelu des trois couronnes,” w środkowym punkcie amfiteatralnego szeregu domów i hoteli na Quai Sina, widać przystań, ocienioną dwoma cudownymi platanami, a do której raz po raz to z jednej, to z drugiej strony przybijają statki parowe.

Obróciwszy się na prawo, w kierunku Lozanny, ma się mniej efektowną panoramę: jezioro rozlewa się nadzwyczaj szeroko, góry zaś, okalające tę gładką roztocz wodną, płaskie i pokratkowane winnicami, wśród których białą się małe osady lub pojedyncze domki, nie zasługują na miano malowniczych.

Wobec tego, nie mogąc się zachwycić tą częścią widoku, więcej się zwraca uwagi na to, co się dzieje w pobliżu, na bulwarze, gdzie w pogodny dzień najwięcej przechadza się cudzoziemców z nadbrzeżnych hoteli i pensjonatów. Co chwila przemknie jakiś Anglik lub Angielka na rowerze, na ławkach, pod sklepieniem platanów, widać i gruchające pary, i kraciasto ubranych synów Albionu, zaczytanych w ogromnych szmatach gazet angielskich, i kobiety robiące pończochy, i nianki z dziećmi, i robotników w bluzach, i małych uliczników w czapkach na bakier, i samotne damy z książką w ręku, i otyłe kumoszki szwajcarskie. Nigdy też nie brak i takich, co się zabawiają karmieniem mew, których wtedy całe stada zlatują się w jedno miejsce, skomląc i piszcząc za każdym rzuconym kawałkiem chleba, zwłaszcza, gdy mają do zwalczania także i współzawodnictwo łabędzi, bo i te wówczas przypływają ze wszystkich stron, nigdy nienasycone.

Vevey, które już za czasów przedhistorycznych było drewnianą wioską nadbrzeżną, zbudowaną na słupach dębowych, wbitych w dno jeziora, a które następnie tworzyło kolonię Fecyów, zanim się stało rzymskim miasteczkiem Viviscus, wslawiło się w końcu XVIII wieku na świat cały dzięki „Nowej Heloizie” Rousseau’a — który je swemu sentymentalemu Saint-Preux — obrał na miejsce zamieszkania a w dzisiejszych czasach słusznie cieszy się opinią szwajcarskiego Eldorada. Jako miejscowość, gdzie po wyczerpujących walkach i troskach życiowych można znaleźć spokój i wytchnienie, nie mówiąc już o pięknej naturze, o cudownym powietrzu i ostatnim wyrazie komfortu, jestto zakątek, który doprawdy może być nazwany kawałkiem raju na ziemi. Jak wszystkie miasta i miasteczka w Szwajcarii, podobnie i Vevey, liczące około jedenastu tysięcy mieszkańców (nadzwyczaj miłych i sympatycznych), śmiało może uchodzić za wzór czystości, porządku i wszelkich możliwych udogodnień. Położone przy ujściu rzeczki Veveyse, posiada ono, oprócz kilkunastu hoteli, schludne ulice i place z ładnymi skle-

pami, i własne muzeum miejskie, i wzorowe szkoły (w których kształci się mnóstwo dzieci cudzoziemców), i starożytną katedrę, (w której spoczywają słynni sędziowie i patryoci angielscy, Ludlow i Broughton, którzy skazali na śmierć Karola I-go), i parę nowych kościołów, i wystawę obrazów, i parę ładnych parków, nie mówiąc już o tramwaju elektrycznym, przebiegającym całe miasteczko, a łączącym je z pobliskimi wioskami i miasteczkami, z Clarens, Territet, Montreux i zamkiem Chillon. Osobliwością jednak, którą Vevey chlubi się najbardziej, jest bulwar nad jeziorem t. zw. „Promenade de rivage,” bulwar, o którym powiedziano bez przesady, iż jako panorama śmiało może się równać ze słynną neapolitańską Via nazionale. Widok jaki się roztacza z pod tej platanowej alei, należy do najpiękniejszych w świecie.

Wiedział też Rousseau, dlaczego bohaterowi „Nowej Heloizy” kazał być w Vevey, nie gdzieindziej nauczycielem ludowym, że słynne listy, które Sain-Preux pisywał do Julii, a które przeżył przez długie lata, aż do wyjścia „Werthera,” świat cały się zachwycił i kochał na ich wzór, że listy te, najbardziej romansowe ze wszystkich, jakie można wskazać w literaturze, były pisane z Vevey, nie z kądinąd. Cokolwiekby się dało powiedzieć o tych listach, jak o całej „Nowej Heloizie” w ogóle, jedno wszelako jest godnem zaznaczenia, że gdy się tę książkę — uchodzącą dziś za najnudniejszy ze wszystkich romansów — czyta w Vevey, na rozkosznym tarasie „Hotelu des trois Couronnes,” lub w cieniu odwiecznych kasztanów na wzgórzu przed starą katedrą, miłosna ta korespondencya dwojga sentymentalnych kochanków wcale nie wydaje się nudną: jeszcze jeden dowód więcej, że kto chce zrozumieć poetę, *muss in Dichters Lande gehen*. Ale bo też kiedy się tu przerzuca kartki idyllicznej historii Julii i jej egzaltowanego wielbiciela, rozumie się to uwielbienie dla przyrody, cechujące dzieło Rousseau’a, pojmuje się paradoksalne twierdzenie Brandesa, że ztąd rozszerzył się po Europie kult natury. Oto, jak wspomniany krytyk duński opisuje tę widowie „Nowej Heloizy:” „Za Vevey’em rozpoczynają się pochyłości Alp, umajone południowo-świeżemi drzewami i winnicami. Nad jeziorem, wzdłuż drugiego brzegu, sterczą olbrzymie ciemno-modre ściany skał, poważne i groźne w dole, gdy tymczasem po szczytach igra wesołe słońce, hojnie szafując efektownymi kontrastami światła i cienia, zielenią lasów i hał, szaremi granitami i olśniewającą białością śniegów. A samo jezioro? Przedewszystkiem żadne jezioro nie jest tak błękitne, jak jezioro genewskie, którego lazuruwają toń, w pogodny dzień letni, śmiało porównać można do błękitnego atlasu, mieniącego się odbłyśkami złota. Sam kraj, to kraj cesarzy, kraj marzeń, kędy potężne góry rzucają na wodę błękitną, jak niebo, swe modro-czarne cienie, a gdzie powietrze przepojone światłem słonecznym, zdaje się nasycać jeszcze i błękitem nieba, co sprawia, że w tej tajemniczej szeregach wszystko się jakoby zlewa ze sobą, i jezioro, i góry, i słońce.” Ta to właśnie scenerya „Nowej Heloizy” — konkluduje Brandes — wyparła czasy Regencyi. Ale bo też co za wspaniałe tło tworzą brzegi Lemanu dla

każdego wrażliwszego serca, które tu w naturze z całą przegląda się świadomością, znajdując w świecie zewnętrznym odgłos własnego nastroju! „Zdaje się, jak gdyby tu właśnie oko ludzkości otwierało się na piękności krajobrazu, a serce nabierało polotu do zatapania się w senne rozmarzenie, do pograżania się w tajemnice bytu, w cichy spokój lasu i jeziora, góry i doliny!” Słowacki, który nad Lemanem spędził kilka najpiękniejszych lat swego poetycznego życia, tak pisał raz o tem jeziorze do matki, patrząc na rozległe błękity fali: „Nie uwierzycie, ile ten obraz ma smutku i myśli. Szum jeziora zaledwo słyszeć się daje... Tu wszystko cichą przybiera barwę: nawet wspomnienia wielkich ludzi są wspomnieniami cichego życia. W takim czarującym kraju potrzeba mieć tylko serce napelnione i spokojne...”

Swoją drogą prawie wszyscy wielcy ludzie, których wspomnienie wiąże się z genewskim jeziorem, przyjeżdżali tu z sercem napelnionem, często nawet przepełnionem miłością, i to właśnie było powodem, że nie zawsze w tym czarującym kraju zaznawali spokoju i cichego życia. Być może, iż jedyni tylko Wolter i Gibbon stanowili wyjątek pod tym względem; po za tem wszyscy, poczynawszy od pani Staël, a skończywszy na Słowackim, przez cały czas pobytu swego nad Lemanem, odmięli z waryacyami bez końca wiersz Szaryńskiego:

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
Bo noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z AUTOGRAFÓW.



Poniżej zamieszczamy serdeczny i pełen matczyńskiego uczucia list Ewy z Wendorffów Felińskiej, rozgłosnej swojego czasu autorki „Pana deputata,” „Hersylii,” „Pomyłki,” „Pamiętników z życia” i „Wspomnień z podróży po Syberyi,” matki b. Arcybiskupa i Metropolity warszawskiego, zmarłej w r. 1859-ym. Niepospolity ten umysł i talent wśród kobiet twórczych w literaturze naszej godzien jest większej uwagi i pamięci współczesnego pokolenia; postać jej i dzieła przypomniał prof. Piotr Chmielowski przed laty kilkunastu w zajmującej rozprawie, pomieszczonej na końcu pierwszej seryi „Autorek polskich w. XIX-go.”

Pomiędzy rokiem 1839-ym a 1844-ym Ewa Felińska przebywała w Berezowie i Saratowie, pomiędzy Ostyakami i zamtąd właśnie pisywała do ukochanych dzieci, pozostałych w kraju zajmujące listy, z których jeden, jako wyjątkowo obfity w ciekawe szczegóły i myśli, wystosowany do córki Zofii, żonatyj Poniatowskiej później, podajemy w numerze niniejszym; poprzedza on na lat parę literacką działalność autorki, rozpoczynającą pod pseudonimem Wenerandy Kokoszy zawód pisarski dopiero w r. 1843-im, a już pięćdziesiątym jej życia.

„Miła moja Zosiuniu, lube dziecko moje! Odebrałam twoje listy z 1-go i 14-go kwietnia. Niechże ucałuję za nie twoje oczęta. A je-

dnak mam ochotę zrobić ci małą wymówkę, tylko się boję, abys po dawnemu nie odstawiła zaraz swojej gąbki i łyzy ci nie popłynęły po zarumienionej twarzy. Dlaczego wśród niewymuszonego wylania twoich myśli, które jest jedyną osłodą mego życia, znajduję wyrazy: „zapewne i tak dość już kochaną Mamę znudziłam?” Zapewne tych słów nie podyktowało ci twoje serce, wzięłaś je tylko ze swojej głowy, a nawet nie z głowy, ale tylko z pamięci; zchwyciłaś z tego magazynu sprzęt zużyty, dobry do rzucenia na głowę pierwszemu przychodniowi, przy natrętnych okolicznościach, kiedy się nie ma nic lepszego do dania; ale tam, gdzie serce spragnione otwiera się dla przyjęcia świeżego tchnienia z twego serca, ten stary grat rzucony z nienacka, rani go, a nie posila. Ty wiesz, mała figlarko, jak mi każda rzecz od ciebie jest drogą, ale kiedy jest twoją. Mów mi o swoim trzewiku, podwiązce, ołówku; mów mi, gdzie chodzisz, co widzisz, choćby to było zawsze jedno, choćbyś chodziła zawsze przez jeden próg, choćbyś nie widziała nic więcej nigdy, prócz bruku za twoim oknem. Mów mi, co robisz, choćby to była tylko pończocha, ale niech to będzie twoje, od ciebie — a wszystko będzie dla mnie największą uczcą, rozkoszą, jeśli chcesz. Ale na cóż ci mam mówić, jak ja lubię, żebyś pisała? Nie wiem, kto ciebie nauczył, żeś tak schwyciła drogę do mego serca. Każden wyraz jest dla mnie pociechą. Wszędzie postrzegam w nich duszę kochającą moją małą Zosi, też samą szczerość, naiwność, słowem też samą fizjonomję, tylko trochę rozwiniętą i wiekiem ukształconą. Bądź zawsze taką, jak jesteś, jak byłaś, jakiej obraz noszę zawsze w moim sercu, w mojej pamięci; innej nie pragnę, nie chcę.

Twoje położenie znów się robi tak niepewnym, że imaginacja napróżno zatrzymuje się na niektórych wyobrażeniach, nie ma się uchwycić za nic pewnego i znów dalej prowadzi lot błędny. Ale ja nawykłam już błąkać się z myślą moją po przestrzeniach bezmiernych. Ta pustynia okiem ani myślą nie określona, to moja terazniejsza ojezyczna.

Kiedy mię męczy niepewność twojej przyszłości, przypominam sobie tyle dobrodziejstw złanych ręką Opatrzności na wasze sieroctwo.

Jeśliś widziała w gabinecie zoologicznym koszulę ze skóry rybiej, to właśnie Ostyacy używają tu podobnych skór na worki i inne rzeczy; także okna na zimę ustawiają z takiej skóry cienko wyskrobanej. Nici robią z żył renów. Bardzo mi miło będzie obaczyć kiedyś kwiatki twojej roboty. Jak z wielu względów one mi będą mile!

Jakże przyjemne we mnie obudziła wspomnienie wzmianka o przełożonej niegdyś PP. Miłosierdzia Łuckich, Pannie Honoracie Domanieckiej, jeżeli się nie mylę. Ona we mnie obudziła prawdziwy szacunek. Jeżeli ją obaczysz, powiedz jej odemnie najpiękniejszy ukłon i zapytaj ją o jej zdrowie.

My aż do pierwszego Czerwca mieliśmy ciągle zimną. Trawa nie zielona, drzewa nie rozwinięte, i napaliwszy w piecu, musieliśmy jeszcze używać flaneli, a nawet i waty, kiedy wyjść było potrzeba. Pierwszego Czerwca poszłam w łóżko pod ciepłą koldrę i z wierzchu pokryta szlafrokiem, a przebudziłam się przy

nadzwyczajnym upale, tak, że trzeba się było odziać w najlepsze odzienie, t. j. w jeden szlafrok perkalowy i ten jeszcze był za parny. Miejsce herbaty zastąpiło zimne mleko, miejsce krzesel podłoga. Ku wieczorowi grzmoty i pioruny, jakie się u nas rzadko trafiają. Zdało się, że to była podniesiona czynność przyrodzenia, aby porodzić lato, gdyż w tym jednym dniu cała okolica zmienioną została: trawa zazieleniała, nagie drzewa pokryły się zielonymi liśćmi, czeremcha kwiatem, powietrze komarami. Kozacy, wyluszczyli się, jak węże ze skóry renów i zapstrokacili chałatami różnokolorowymi. Jednym słowem była to uroczystość, która, niestety, trwała zbyt krótko, bo podobno tylko przez 2 dni i znów zrobiło się zimno, ale zimno zielone.

Dziś jest tak zimno, że jedynie aby nie zawstydzić bardzo tutejszego lata, więc w piecu nie palimy. Właśnie powracam od brzegu, gdzie odprowadziliśmy naszego gospodarza, który pojechał na morze Obskie dla połowu. Józia było w wacie i salopie z futrem, a ja, że wzięłam tylko kacawęjkę z futrem z renów, to tak zziębłam, jak zimą. To dziwna rzecz, jakie tu nagle są przejścia z zimna do gorąca i nawzajem!... Kilka dni temu pogoda była bardzo piękna i my z Józią poszliśmy do tutejszych Strapeznych. Okna w ich domu były wszystkie poodmykane, bo każdy otwierał wszystkie wejścia, aby w dom przyjąć tak miłego i rzadkiego gościa, jakim tu jest dzień pogodny. Wtem wiatr powiał od północy i najgwałtowniejsza zerwała się burza. Wszyscy rzuciliśmy się do zamykania okien, ale Strapczyzna daremnie się pasowała ze swoim, wiatr przemógł, wyrwał okno i rozbił. Poszedł deszcz — wszystko ucichło i my wróciłyśmy do domu tylko powietrzem nieco ochłodzonem.

Otóż i papier się skończył.

Żegnam cię dziecię moje łube, moje kochane, moje życie!... Niech ci położę pocałowanie na czole, na ustach.

E. Felińska.

NASZE DZIECI.



I.

Dziecko się bawi.

Garść piasku, garść kamieni, kilka drewnianych klocków i — powstają gmachy, domki, czarowane ogrody, powozy, karety, wszystko, co się jeno w bujnej dziecięcej wyobraźni mieści. Za chwilę domki zamieniają się w stół nakryty, jeśli niema «serwisu», byle kawaleczki papieru, albo liścia zastępują talerze, kamyki przyjmują postać potraw najwytworniejszych, zabawa w «bal» wzbogaca się co chwila w nowe odkrycia, oczęta małych ludzi błyszczą uciechą, różowe buziaki śmieją się radośnie.

Jakaż ona dziwnie żywotna, niewyczerpana, jaka często wysoce poetyczna ta wyobraźnia dziecięcych głów! A ileż to w zachowaniu się dziecka względem zabawek jego, spoczywa wskazówek ważnych, tak co do jego pojęć, upodobań, jak i podstaw charakteru. Rozumie

się jednak, że owych wskazówek szukać należy jedynie w obchodzeniu się z zabawkami najpierwotniejszymi, z przedmiotami, które w niczem swobody dziecka nie krepują. Wszelkie kosztowne zabawki, które zapełniają wystawy sklepowe, wspaniałe ekwipaże z jedwabnemi poduszkami, doskonałe, podług natury modelowane zwierzęta, maszynerye skomplikowane figurki, krajobrazy z ukrytą muzyką i t. p., są to śliczności, na chwilę wabiące oczy dziecka, lecz z którymi ono po większej części nie wie, co zrobić. Niejedna mamusia dziwi się może, iż pociecha jej porzuca nową, piękną, przed chwilą otrzymaną zabawkę, dla jakiegoś starego grata, który z biegiem czasu rozliczne spełniał obowiązki; był najpierw powozem, potem pocztą, samochodem, bryczką, wreszcie, straciwszy doszczętnie koła, przedzierzgnął się w sanie.

Ach, żeby to można było tego ślicznego konika, którego pan Milusiński dostał na gwiazdkę, zaprzadzić do tych sani, nałożyć na nie różnych patyczków, lalki, mebelki, garnuszki, dopierożby to była pyszna zabawa w «przeprowadzkę!» Ale konik ma tak mocno przyzyszyte, czy przylepione siodelko, że nie można go poruszyć, bo jużby się nie dało w ten sam sposób przymocować i konik nie byłby już taki ładny; a mebelki lalki takie jasne, delikatne, krzeselka i kanapki takie cieniutkie mają nóżki, że połamałyby się łatwo przy ładowaniu, można je tylko ustawiać w pokoju lalki i to bardzo ostrożnie. Dziecko samo uznaje, że byłoby wielką szkodą popsuć takie piękne rzeczy, i w końcu woli nie ruszać ich wcale.

Piękne, nowe zabawki idą zazwyczaj na schowanie i tylko czasem, przy nadzwyczajnych okolicznościach wydobyte zostają na arenę gier dziecięcych. I oto zdarza się czasem, że piękna, kosztowna zabawka ulega wypadkowi, psuje się; w oczach starszych traci całą swą wartość, w oczach dziecka, teraz dopiero na wartości zyskuje. Albowiem teraz już nie trzeba szanować owej zabawki, mały człowieczek może z nią czynić, co mu się tylko spodoba.

I cóż to szkodzi, że brakuje tej lub owej części? czyż to w czemkolwiek przeszkadza zabawie? Wyobraźnia dziecka, potężna czarodziejka, zastępuje wszelakie braki.

Mała dziewczeczka przybiega raz do mnie z lalką, która w miejsce głowy ma jakiś niezgrabnie zwinięty kłębek i każe mi podziwiać śliczne oczki i loczki swojej «córeczki».

— Ależ przecie ona głowy niema! — mówię poważnie.

Maleńka spojrzała na mnie z politowaniem.

— To tylko ty nic nie widzisz! — odrzekła.

Czasami dziecko usiłuje samo naprawić zepsutą zabawkę, i bywa, że przy tych próbach zabawka zmienia zupełnie swoją, że tak powiem, fizyognomię; do zmiany tej przyczepia się zaraz ruchliwa wyobraźnia dziecka i czerpie w niej nowe źródło uciechy.

Lalka zgubiła perukę, z czegożby to nową sporządzić?

Dziecko, zamiast zgubionej peruki, przywiązuje lalce jakieś pakuły znalezione w pudełku od zabawek i śmieje się, że wyglądają niby dwa rożki.

— Zosia dyabełek! (każda lalka musi mieć imię) dyabełek! Zosia dyabełek, — woła dziewcz-

czynka, klaszcząc w rączki. Za różkami dziecku przypomina sobie drugi nieodzowny przedmiot i smaruje buzię lalczyną atramentem, albowiem w wyobraźni dziecka, jak zresztą w wyobraźni ludu, przedstawiciel piekielnych potęg musi być czarny. I tak zamieniona w dyabełka Zosia wyprawia psoty i figle niesłychane.

Straszy inne lalki, rozrzuca «gospodarstwo,» nawet i żywym ludziom wchodzi w drogę.

A dziecko tak lubi lalkę z poczernioną twarzą i przywiązanymi pakułami do głowy, jak nigdy przedtem nie lubiło jej, gdy miała śliczną, utrefioną perukę i białoróżową buzię. Dlaczego?... dlatego, że teraz lalka stała się niejako własnym dziecka pomysłem, dowodem twórczości jego wyobraźni, wiadomo zaś, że każdy, mały czy wielki człowiek dziwną miłość ma dla wszystkiego, co z niego powstaje.

Dopiero więc to, co dziecko z zabawką przeżywa, wyraża dla niej miłość i przywiązanie.

W dosłownem tego słowa znaczeniu zabawka pochodzi od nas, my ją dziecku wybieramy, dajemy, lecz po głębszem rzeczy tej rozważeniu, dziecko obdarza siebie zabawką samo, bo dopiero wtedy czuje do niej bezsprzeczne prawo, jeśli zdobyło nad nią wszechwładne panowanie i jeśli z zabawką łączą się jego wspomnienia.

Nie idzie za tem, żeby dziecku pozostawić absolutną swobodę psucia każdej nowej zabawki, ponieważ bardzo łatwo doprowadziłoby to małego człowieka do coraz bardziej wzrastającej chęci niszczenia.

W każdym kierunku dojść można do niezdrowej przesady.

Bywają rodzice, którzy z przyjemnością patrzą, jak malec rozpruwa brzuch ulubionemu koniowi, aby przekonać się, co ona wewnątrz zawiera. Ciekawość tę przypisują pragnieniu wiedzy i z dumą spoglądają na swą «genialną» pociechę.

Przekonałam się atoli dowodnie i wielokrotnie, że w ten sposób okazywane pragnienie wiedzy pokrywa tylko skłonność do okrucieństwa, aż nadto często spotykaną w dziecięcym świecie.

U dziecka normalnie i dodatnio rozwiniętego, podobne zaspokojenie «pragnień wiedzy» jest prawie niedopuszczalne, albowiem chęć zbadania rzeczy aż tak dalece do gruntu, spowodowana z sobą refleksyę, ta zaś nie wkłada nigdy dziecku narzędzia zniszczenia w rączkę. Jeśli więc nawet w ochocie psucia i niszczenia nie będziemy upatrywali poważniejszych, psychopatycznych przejawów, to w każdym razie w odpowiednio pedagogiczny sposób zwalczać ową ochotę należy, aby nie stała się przyczynkiem do rozwijania się w dziecku nieszlachetnych instynktów.

Lalka dla dziewczynki nie jest bezdusznym, martwym przedmiotem, lecz żywą i czującą istotą — i z głębokim przekonaniem dowodzę, że małenstwo, które *rozmyślnie* lalce swej odcina rękę, bez wahania musze czy robaczce wyrwie nóżki i skrzydełka. Rzekłam «rozmyślnie,» bo należy z wielką ostrożnością decydować o przyczynie zniszczenia zabawki. Bywają dzieci tak niezgrabne z natury, że cokolwiek w rączyny wezmą, łamie się i kruszy, przez co nieraz ciężkiego doznają zmartwienia. Karcenie surowe w takim razie nie jest wcale na miejscu, jest nawet niesprawiedliwym, bo

dziecko i tak już cierpi dostatecznie. Właściwszej drogi szukać trzeba, ku usunięciu złego, trzeba wyrabiać w dziecku brakującą mu zręczność, żeby zaś oszczędzić: sobie przykrości karcenia, dziecku przykrości odbierania nagany, dostarczajmy mniej zręcznemu małenstwu zabawek o ile można najmniej łamliwych i najmniej do zepsucia łatwych.

Lalki tylko, jeśli tu chodzi o dziewczynkę, usunąć, choćby i z niezgrabnych rączek niewolno. Zabrać dziewczynie lalkę, znaczy zgrzeszyć przeciw naturze dziecka.

Czytałam wprawdzie o nowo wyrabiającym się kierunku wychowawczym, skazującym lalki na zagładę, lecz ci, od których myśl owa wyszła, nie liczą się zgoła z macierzyńskim instynktem, rozwijającym się w każdym małenkim osobniku rodzaju żeńskiego, niesłuchanie wcześniej. Dawni i nowi filozofowie orzekli przecie, że gdyby dziewczynka nigdy lalki nie widziała, gdyby nawet nie zasłyszała o jej istnieniu i tak, instynktem wiedziona, samaby, ku swej ucieście i zadowoleniu swych moralnych potrzeb, lalkę zrobić umiała.

Ktoś, kto obserwował pilnie, jak małuska dziewczuska, za ledwie nożyny stawiająca o własnej mocy, z każdym prawie przedmiotem, który weźmie w rączki, obchodzi się jak z lalką, jak biedactwo malutkie, dla których zabawka niedostępnym jest zbytkiem, byle z gałgana i słomy fabrykują sobie lalki, ten zrozumie, że wśród zabawek, przeznaczonych dla dziewczynki, lalki nic nie zastąpi.

Głos natury, który malunieczkiej kobiecie wskazuje przyszłe jej powołanie, stłumić się nie da. Kto zaś próbuje dokonać tego, nie myśli o wielkiem niebezpieczeństwie usuwania z serduszka dziewczynki najcenniejszych przedmiotów, w życiu przyszłej kobiety nieodzownych ku stworzeniu szczęścia dla siebie samej i zbudowaniu go dla drugich.

Niewątpliwie znajdują się tacy, którzy dowodzić będą, iż nie każdej kobiecie danem jest przymioty owe stosować w życiu, że przeto niepotrzebnie rozwijamy je tak wcześniej w dziecku, przez co złamane życie może być następstwem uczuć niewłaściwie skierowanych.

Fałszywa logika!

Macierzyskie uczucie kobiety znajduje ujście nietylko odnośnie do własnego dziecka.

Gotowość do poświęceń, dowiedzionych czynami, miłość pełna czulej troskliwości zdolna do zaparcia się siebie, będące charakterystyczną podstawą miłości macierzyńskiej, mogą zwrócić się na głowy istot nie tak sercu bliskich, jak rodzone dziecko. Kobiecie dobrze jest wtedy, gdy bogactwem swego uczucia darzyć może świat, jaki w około siebie stworzy, wszystko jedno, czy świat ów naprawdę będzie jej rodziną, czy też stanie się nią pomimo związków krwi nie tak bliskich. Serdeczna potrzeba i sposobność dobroczynnego rozsiewania miłości, dbałość o ład, porządek, zabiegliwość gospodarczą, które też przy zabawie z lalką w dziewczynce wybornie rozwinać można, stoją otworem tak przed kobietą zamężną, jako i przed niezamężną, tak przed pracującą samodzielną, jako i przed kapłanką domowego ogniska. Smutna dola kobiety, która nie znajduje pola do uszczęśliwienia dalszych czy bliższych sercem i czułością macierzyńską, tkliwą, dobroci pełną!...

Zabawka zatem winna przygotowywać dziecko do przyszłego jego powołania, dlatego więc nie należy narzucać jej dziecku, lecz małuskiemu człowiekowi pozostawić swobodę wyboru. Z pewnością wybierze to, co najlepiej odpowie rozwijającej się w niem indywidualności.

Rodzice, wychowawcy, mogą tu wiele pomagać, prostować, naprawiać, ale kierunek, w którym działać powinni, dziecko samo im wskaże.

Zofia Seidler.



Z NAJNOWSZYCH POEZJI.



(Edmund Bieder: „Poezye.“ Serya pierwsza. Kraków, nakładem D. E. Friedleina, 1901).

Tout est grand, tout est beau, mais on meurt, dans votre air, — wołał przeszło pół wieku temu Musset, dusząc się w ciemnej, stęchłej, bezsłonecznej atmosferze współczesnego mu życia.

Bo już podówczas zbierała się ta fala pozytywistycznych prądów, która przeszedłszy świat cały z siłą wezbranego górskiego potoku, zwała wszystko, co jej stało na drodze, podmyła fundamenty najwspanialszych gmachów myśli i wiary, a opadłszy, pozostawiła osad fatalny: pesymizm rozkładowy, *taedium vitae*, zniechęcenie i smutek.

Zapanował w świecie smutek, — „smutek wyrzeczenia się i rezygnacji, smutek protestu i wysiłku beznadziejnego, smutek szalu w końcu, ale zawsze smutek; wszędzie jego znamię, na czołach ludzi współczesnych i w ich sercach.“ A szczególnie w ich twórczości.

Zawsze mi smutno i wszystko mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie...

skarżył się ongi Słowacki, nie spodziewając się wcale, że w swej skardze streszcza kierunek myślowy, uczuciowy i twórczy tej generacji, która przyszła w tyle lat po nim i jego wzięła za swego patrona.

Pesymizm, skarga na próżnię i szarość życia, na bezcelowość wszelkich dążeń i porывów, na swą własną bezsilność, na zawody i rozczarowania sypane hojnie przez życie, na znużenie duszy zbłąkanej wśród ciemności, na tęsknotę ciszy i ukojenia, — oto *Leitmotiv* liiryki ostatnich lat kilkunastu, transponowany w coraz to odmienne tonacje, harmonizowany coraz to inaczej, instrumentowany w najrozmaitsze sposoby, ujmowany w coraz to kunsztowniejsze formy. Z czasem motyw się osłuchał, temat się wyczerpał, wytworzyła się monotonia nastrojów i myśli, obracających się ustawicznie w błędnem kole jednych i tych samych skarg i żalów.

W tem samem błędnem kole obraca się także i twórczość p. Biedera; staje on karnie w szeregu i łączy się z falangą, wyznając: „Idziemy smętni, cisi, zadumani, serca wieczysta rozpiera nam żalność, idziemy mgłami ciemnymi owiani i widzimy nędzę istnienia i szarość. Idziemy smętni, zadumani, cisi, za słabi na to, by przeżyć ramiona, mrok jest

przed nami, nad nami mgła wisi i w duszach naszych wieczyście coś kona... Idziemy cisi, zadumani, smętni, przed nami otchłań bezcelowa, pusta, idziemy cisi, senni, obojętni i dziwny smutek okala nam usta. Idziemy smętni, cisi, zrozpaczeni, nie wiemy dokąd i po co nie wiemy; nad nami niema słonecznych promieni, a my idziemy... gdzieś... w bezkres idziemy."

Nowa piosenka na starą nutę.

W kunsztownym sonecie czytamy skargę: „Przeżyłem życie w męczarniach Prokrusta, z niejednej wonnej kosztowałem czary i ust niejednych dotknęły me usta, a dziś bez celów, bez pragnień, bez wiary, gdy oczy gasną — twarz blada, jak chusta, gdy schodzą ku mnie wiosennych dni mary, spoglądam w czarę — a czara jest pusta i nie w niej nie ma, prócz mgławicy szarej... W sennie zadumie przeszedłem przez życie i cudne w duszy rozpałem jaśnie... śniłem sny złote o słońca rozświcie, śniłem tęczowe, rusalczane baśnie, śniłem o górnym, orlim, jasnym bycie, a dziś?... Dziś słońce nad głową mi gaśnie."

Znów motyw ograny i osłuchany w nowej formie.

I te same myśli snują się dalej: „Kędy się zwrócę, wszędzie mi jest ciemno, wszędzie mi smutno i wszędiem Helota; jak nieodstępny cień się błąka ze mną: ból i tęsknota, — a dalej: „Zgasło już słońce, noc kładzie cienie na ziemi tle, a w mojej duszy żal i cierpienie i źle mi, — źle... Zgasło już słońce, orgie miasta wstają na świat, a w mojej duszy cicho wyrasta zwątpienia kwiat." Wciąż skargi i żale duszy, co „chora i stęskniona czasami jeszcze z ziemi w kraj tęczy ulata," lecz wnet skrzydła jej opadają i „znów ją smutek i rozpacz kęgami oplata."

Tę duszę „chorą i stęsknioną" nęci ku sobie „kraj zapomnienia," by w nim spocząć i wytechnąć: „Płynąłem długo przymknawszy źrenice, aby nie patrzeć na targi obłudne, na zamacone przez ludzi krynice i wiry życia spienione i brudne. Płynąłem długo, a w wędrówce onej niejedno serce widziałem broczące, niejedno pogrzeb odzwaniały dzwony, niejedno gasło na błękie słońce... Nie jedna dusza gorąca zamarała i w własnym żarze na popiół się stliła, bo żyć nie chciała życiem nędznem karła... Niejedno życie zamknęła mogiła... Płynąłem długo, bez steru, bez wiosła, płynąłem długo w wszechtajni rubieże, aż mnie w słoneczny świat fala zanosła i na zapomnień rzuciła wybrzeże."

Wybuchów buntu, rozpacz niema prawie. Brak męzkich tonów, brak tej siły co imponuje i ujarzmia i jest bierne poddanie się zwątpieniu, żalobie, smutkowi, bólowi i to wszystko przejawia się spokojnie i nie uderza do głowy niebezpiecznie. P. Bieder nawet w erotykach swoich jest bierny, spokojny, łagodny, sentymentalny, *toujours correct*. Jego miłość jest tęczowa, eteryczna, uduchowiona, idealna i wierzy mu się bezwzględnie, gdy mówi: „Ta miłość nasza — to tkanka tęczowa, nie miała, dziewczę, nic ziemskiego w sobie, poczęta w słońcu, skończona w żalobie, tylko śnieżyste wspomnień kwiaty chowa." Bo — naturalnie — miłość ta musiała się skończyć srogim zawodem: „Wszystko zgasło — wkoło ciemno, nie zostało nic dziewczyno! Pozostały smutki ze mną,

pozostały zwiędłe róże, pozostały łzy, co płyną, łzy gorzkie, łzy duże... Wszystko zgasło — sen rozwiany, nigdy mi nie błysnie słońce! Pozostały w sercu rany, pozostały zwiędłe róże, pozostały łzy palące, łzy gorzkie, łzy duże..."

Nie!... lutnia p. Biedera nie ma spiżowych dźwięków; ma dźwięki oboi łagodne, miłe, smętne, chociaż słabe i ciche. W jego wynurzeniach jest sporo szczerości i prawdy, uewnętrznia on rzeczywiste stany swej duszy, ale lubi dramatyzować to życie i drapować się w togę *Weltschmerzu*, niezbyt głębokiego. Oryginalnych myśli, poglądów, olśniewających pomysłów i zwrotów niema. Ale jest ton sympatyczny, miły, który nie budzi w duszy czytelnika rozdzwieku i nie nastraja zbyt smutno.

Jedną siłę ma p. Bieder; jest to wielka muzykalność wiersza i wyborna forma, czasem czarująca; jest zdolność wywoływania nastroju, szczególnie tam, gdzie działa pejzażem. A to nie mało: *Il faut beaucoup de bonnes choses pour faire une bonne Sauce*. Na chybi trafi przytaczam sonet: „W majowe rano, kiedy świat omdlewa w słonecznym żarze złocistych promieni, wszystko drży w blaskach i wszystko się mieni: wrzosi i gaje, i ludzie, i drzewa... Wśród słodkich woni, wśród drzewa zieleni dusza się kapie, jak na falach mewa, kapie się w cichych bezmiarów rozstrzeni i w niebo jakąś dziękczynną pieśń śpiewa... W majowe rano, w skwarne, ciepłe rano schodzi z błękitów, z złocistych roztoczy Najświętsza Panna drogą w kwiat usłaną... Słodkim uśmiechem jaśnieją Jej oczy, a ona płynie ponad błon wiosnianą i błogosławi ludziom z nadprzeżroczą."

Gdyby tylko mniej skarg, żalów, cierpień i zniechęceń... mniej osłuchanych, zapożyczonych motywów... A że inne motywy nie obce p. Biederowi, dowodem cykl „Tytany," rozpoczynający się sonetem:

W podziemiach wśród wichury iskiei jasnolotej
W ognia krwawej purpurze i w błękitnym dymie
Biją do wrót słonecznych przepotężne młoty
I ramiona się przeją potężne, olbrzymie.

W podziemiu wulkan dyszy, słup skier w górę bucha,
Lawa huczy — i przeży ramiona olbrzymie,
Król-duch Tytan potężny — mistyczny król ducha
Tytan olbrzym, któremu Piękno jest na imię...

Bije do wrót słonecznych i idą już dreszcze
Po ziemi, która leży w mgły spowita jeszcze
I w tęsknocie od wieków czeka na zaranie...

Ziemia czeka... Z otchłani wstań dumy Tytanie,
Nowe słońca i gwiazdy rozpal na błękie
I górne daj nam życie!... Słoneczne daj życie!...

Adolf Strzelecki.



ZŁOTE ZIARNKA.



Wianek nietykalności.

Chcesz śmiało przejść pomiędzy światowym ro-
[zrucem?
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi du-
[chem.

Zdania prawdziwe.

Nie ten, kto wiele umie, ale ten, kto umie, co potrzeba, dość mądry.

Spokojna myśl, największe ludzkości szczęście.

Kamień próbuje złoto, a złoto cnotę.

Prawdy a żartów, jako soli używaj, abyś nie przesolił.

Oszczędzaj swoje, abyś cudzego nie pragnął.

Długo myśl, a prędko czyn.

Za tysiąc świadków czyste sumienie.

Wiele ten robi, kto robi, co może.

Kto o kim przed tobą, ten przed drugim o tobie.

Ukrzywdzonemu szkodę wynagrodzić można, lecz leż nigdy.

Zdanie prawdziwe i trafne.

Powyższe spolszczone:

Cnoty gdy żyje, to jej nie kochamy,

Gdy z oczu zniknie, zazdrośnie szukamy.

Z Horacyusza tłóm Kajetan Koźmian.

Wojna tylko między równymi.

Zwierz walczy ze zwierzęciem, boi się człowieka;
Człowiek walczy z człowiekiem, od ducha ucieka.

Wzajemność.

O ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy;
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

Jak słuchać?

Kto pragnie wieczne Słowo w głębi własnej
[duszy
Sam wyraźnie usłyszeć, niech wprzód zamknie
[uszy.

Zkąd wojna?

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? — Bo w sobie ma zwie-
[rza.

Wianek bezpieczeństwa.

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

Treść numeru:

Z Nowym Rokiem, przez M. G. — Nowy Rok (wiersz),
przez Tadeusza Kończyca. — Przystań, powieść współcze-
sna, przez J. Terpiłowską. — Nad modrym Dunajem (z poc-
matu «Sobieski pod Wiedniem», przez Deotymę. — Prawda
w wychowaniu, przez Henryka Rygiera. — Nad wodą jasną
i czystą... przez Ferdynanda Hościęckiego. — Z autografów:
List Ewy Felińskiej. — Nasze dzieci, przez Zofię Seidler. —
Z najnowszych poezji, przez Adolfa Strzeleckiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz drugi powieści
Ryszarda Henryka Savage p. t. «Nowoczesny korsarz».

Dodatek: Przegląd mód, przez S. — Opis ubiorów i ro-
bót (rycin 32). — Poradnik dla gospodyń. — Hygieniczna
reforma kobiecego ubrania. — Kronika działalności kobie-
cej, oraz rkusz z krojami



Wszyscy nowi prenumeratorowie otrzymają
arkusz pierwszy powieści R. H. Savage p. t.:
„Nowoczesny korsarz."

Akcyjne Towarzystwo
Warszawskiej Fabryki Perfum
 Fabryka założona
 w 1852 roku.

**PRYDERYK
 PULS**

Sprzedaż
 Plac Teatralny 11.
 W WARSZAWIE.



PIERWSZA W KRAJU PAROWA FABRYKA
Wieńców, poślin i Kwiatów z metalu

WARSZAWA

Fabryka: Aleje Jerozolimskie 129.

Sklep: Senatorska 22.

ST.-PETERSBURG

Filja:
 Wielka Morska 11.

**A. MAKOWSKI
 i E. RAUER**

*Najpiękniejsza dekoracja w mieszkaniach, wazonów,
 żardynier, koszyczków i t. d. kwiatami porcelanowymi.*

Pracownia i Magazyn
WYROBÓW ZŁOTYCH, SREBRNYCH I BRYLANTOWYCH
J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy *Trębackiej* Nr. 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, kolczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stołowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące. — **Ceny fabryczne.**

zaliczone przez ogół prasy polskiej do najwspanialszych i cennych wydawnictw ostatniej doby. Wydanie luksusowe w dużym formacie, na angielskim kredowanym papierze, **ozdobione 250 rycinami** znakomitszych malarzy, z tekstem artysty malarza H. Piątkowskiego.

Cena rb. 12 w bogatej oprawie z brzegami złożonemi, z przesyłką pocztową rb. 13 kop. 50.

Nabyć można w każdej księgarni. Zamawiający u Wydawców w kantorze drukarni P. Laskauera i W. Babickiego w Warszawie, ul. Ś-to Krzyżka Nr. 11, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.

**„ALBUM
 SZTUKI POLSKIEJ”**

KALENDARZ

z kartkami do zrywania
 NA ROK

1902.

CO JUTRO BĘDZIE NA OBIAD?

Dyspozycje obiadów na
 każdy dzień oraz rady gospo-
 darskie podane przez

P. SZUMLAŃSKA

Cena 50 k., pocztą 65 k.

Do nabycia w księgarni **M. ARCTA**,
 w Warszawie, Nowy-Swiat No 53.

ORAZ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
 I SKŁADACH PAPIERU